

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Janvier 1971

Price 4/-

Cena 4/-
\$ 0.50; 2.70 F.



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

STYCZEŃ

1971

Nr 78/1225

SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



Murée
1971



St. Chorostowski

POLSKI KRAJOBRAZ GÓRSKI W SZTUCE

FP 2156

W NUMERZE :

M. Tomkiewicz: Żli Niemcy, dobrzy Niemcy...	1
E. Hinterhoff: Dialogu nuklearnego ciąg dalszy	4
M. Wyrwicz: Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?	6
P. Zaremba: Czy więcej niż podpisy na traktacie?	8
K. Brzozowska: Heinrich Himmler i jego SS	12
F. Chrzanowski: Kalejdoskop włoski	15
M. Hemar: Więcej wieczorów autorskich	16
J. Surynowa-Wyczółkowska: Od krynoliny do mini	21
F. Goldschlag: Zagadka Mony Lizy	23
J. Garliński: Na kluczowej placówce	24
W. Günther: De Gaulle i Stalin	26
T. Lisiewicz: O pożytecznej książce	27
Klage: Przegląd spraw wojskowych	28
JPH: Między anegdotą i plotką	29
J. Ostrowski: Morstin i Słowacki na scenie	31
A. Stamborowski: Dziwna polemika	32
W. Netter: Druga próba federacji arabskiej	34
Notatnik kulturalny	36
Z życia polskiego	37

Nowe, tragiczne w skutkach fale protestu społeczeństwa w Polsce na tle głodowym, wywołane świadomie przez klikę rywalizujące ze sobą o władzę nad zniewolonym narodem wywołały wielki wstrząs wśród Polaków żyjących poza Krajem.

Poniżej zamieszczamy dwa dokumenty z wielkiej manifestacji w Londynie 20 grudnia.

L I S T Z K R A J U :

Łomot gąsienic, serie kaemów, krzyk mordowanych ludzi. Tak wyglądał Poznań 14 lat temu. „Chuligani“ od Cegielskiego podnieśli rękę na władzę ludową. Żądali chleba i wolności. Dostali kolbą w twarz. „My tę rękę odetniemy“ — obiecał partii wieczny premier. Historia mu to wypomni, naród zapłaci.

I znowu podnieśli rękę na władzę ludową. „Chuligani“ ze stoczni, „szumowiny“ z uniwersytetów, „podpalacze“ z politechnik. Razem. Ramię w ramię, jednością silni, rozpaczą szaleni, desperaci. Więc znów czołgi i armia, znów giną ludzie znów robotnicza milicja przelewa robotniczą krew na rozkaz robotniczej partii.

Zapłonęły czołgi, zapłonęły komitety partyjne. Naród wystawił im rachunek. Rachunek w krwi i tżach. Za polski węgiel i polskie statki, za masło i cement, za głodne dzieci, za 25 lat upokorzenia i strachu. I przyjdzie czas, że zapłacą. Zapłacą za zmarnowany Kraj, za tulaczkę, za miliony sprzedanych Rosji, za przelaną na rozkaz polskiej władzy polską krew.

Walka trwa. Ta sama walka, którą toczyli robotnicy Budapesztu i Pragi. O wolność i demokrację. O chleb i książkę. O wolność myśli i mowy. O prawo do krytyki. O prawo do chleba. O prawo do życia. Hańba mordercom. Chwała Poległym. Walka niech trwa!

REZOLUCJA UCHWALONA NA ZEBRANIU PROTESTACYJNYM W LONDYNIE

Zebrani w pochodzie protestacyjnym w dniu dzisiejszym przedstawiciele trzech pokoleń wspólnie stwierdzają, że całkowitą odpowiedzialność za kryzys gospodarczy i wrzenie w kraju ponosi reżym komunistyczny przez nieudolność administracyjną, tolerowanie wyzysku gospodarki polskiej przez Sowiety, systematyczne poświęcanie interesów narodu polskiego na ołtarzu od dawna przestarzałej i skostniałej doktryny komunistycznej, oraz żądają:

- 1. Przywrócenia narodowi polskiemu wolności.*
- 2. Natychmiastowego odwołania barbarzyńskiego zarządzenia o strzelaniu do protestujących w słusznej sprawie kobiet, mężczyzn i dzieci.*
- 3. Wprowadzenia reform gospodarczych opartych na zweryfikowanych prawach ekonomicznych a nie na zasadach ideologiczno-doktrynalnych.*
- 4. Zaprzestania aktów prowokacyjnych w stosunku do społeczeństwa i traktowania narodu jako pionka w rozgrywkach wewnętrzno-politycznych.*
- 5. Przerwania wszelkiej wymiany towarowej z innymi krajami jeśli nie jest ona oparta na ogólnie przyjętych w wolnym świecie zasadach korzyści ekonomicznej.*
- 6. Wprowadzenia w życie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela.*
- 7. Nawiązania zerwanych środków komunikacji w kraju i zagranicą.*
- 8. Natychmiastowego zwolnienia wszystkich aresztowanych.*
- 9. W razie niezwolnienia kogoś z aresztowanych zezwolenia na podjęcie obrony przez niezależnych adwokatów, członków między-narodowych organizacji prawniczych.*

Numer STYCZNIOWY

1971

miesięcznika RWE

NA ANTENIE

ukaze się z powodu strajku elektrowni w Londynie dopiero **około 10 stycznia** i zawierać będzie **52 strony** (zamiast — jak zwykle — 36 stron) — w tym **obszerne wiadomości o krwawych wypadkach w Polsce i zmianach na szczycie partii komunistycznej.**

Nadto w numerze piszą:

- Dywersant — PROBLEMY PRASY W PRL
- M. Gamarnikow — „GRANICE REFORMY“ czy „REFORMA BEZ GRANIC“
- NA JUBILEUSZ CWIKLIŃSKIEJ
- J. Nowak — JAK ZGINAŁ REKOPIS WYBICKIEGO „JESZCZE POLSKA NIE UMARŁA“
- WOJNA Z RZEMIOSŁEM EKSPORTOWYM
- Lucjan Perzanowski — MANIFEST DZIEJOWY“ PAX'u
- T. Mieszkowski — DYPTYK SOWIECKI
- MIGAWKI Z „PANORAMY DNIA“
- DOKUMENTY
- ZA KULISAMI

Prenumerata roczna: £2.20 lub dol. am. 5.00, F. 25.00. Cena pojedynczego n-ru: 3/6 sh., dol. am. 0.50, F. 2.50.

Do nabycia w administracji: Księgarnia SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7 i we wszystkich księgarniach polskich.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

78/1225

STYCZEŃ 1971

Rok XXXI

MINA TOMKIEWICZ

Zli Niemcy, dobrzy Niemcy

Od kilku tygodni oglądam na telewizji film seryjny pt. „Drogi do Wolności“, oparty na trylogii Sartre'a, której akcja toczy się w okresie Monachium i na początku drugiej wojny światowej. Z telewizyjnego ekranu wyje Hitler, „najwpierw uwolnimy 10 milionów naszych sudeckich braci, potem przyjdzie kolej na Polskę, na Ukrainę...“ Głupkowato uśmiecha się telewizyjny Chamberlain, Hitler tylko tak popisuje się, pociesza się angielski premier na 10, Downing Street. Sieg Heil, zanoszą się histerycznym wrzaskiem kilkudziesięciotysięczne tłumy w telewizyjnym Sztutgarcie.

„Dzisiejsi Niemcy są inni, dobrzy, zgadzają się na granicę nad Odrą i Nysą, zawarli przymierze z Rosją, płacą odszkodowania ofiarom nazizmu, uznali nareszcie swoją winę“, powiedział młody człowiek, gdy zasiedliśmy do stołu, odrywając się — z przyjemnością — od obozów koncentracyjnych, kryształowych nocy i tortur, jakie ze starych zdjęć pokazał nam mały ekran.

Niemcy są inni, dobrzy Niemcy? Pakty, przymierza, zaloty dyktatorów... Zapachniało historią.

Herr Franz Joseph Strauss, przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Socjalistycznej (CSU), która idzie rączka w rączkę z CDU, partią zmarłego dra Adenauera, oraz Dr. Herbert Hupka, przewodniczący Stowarzyszenia Wyrzuconych ze Śląska, składającego się z milionów fanatycznych hitlerowców, sprzeciwiają się niemiecko-polskiej umowie w jak najbardziej ostry sposób. Herr Strauss powiedział poetycznie, że nie dopuści do polityki, która sprowadzi zachodnich Niemców do roli „ogrodowych karłów w krajobrazie doktryny Breżniewa“.

Herr Franz Joseph Strauss chce wrócić do władzy i odbudować Trzeci Reich. W ostatnich wyborach w Ławarii partia jego zdobyła 14 dodatkowych miejsc, co, niewątpliwie, wzmocniło pozycję jej przewodniczącego w Bonn i w Monachium. Głosowali na Herr Staussa naziści z NPD., głosowali wysiedleńcy z nad Odry i Nysy, chociaż pozornie wydawałoby się, że polityka CSU różni się od neo-nazistowskiej. Ale to tylko

pozornie. Herr Stauss jest pewny, że w r. 1973, przy nowych wyborach na kanclerza, zdobędzie większość głosów, a wtedy Zachodnie Niemcy przestaną być „krajem ogrodowych karłów“, przekreślone zostaną pakty, umowy i traktaty — Herr Strauss miał dobrego nauczyciela w swoim przyjacielu, Hitlerze! — wróci dawna potęga Niemiec. Chociaż „Times“ ze zwykłym angielskim optymizmem i łatwowiernością, pisze że kanclerz Brandt ma wszelkie dane, żeby być zadowolony.

„Nowy niemiecki Wehrmacht znajduje się pod wodzą agresywnego chrześcijańsko-demokratycznego polityka, Franza Josepha Straussa, którego brytyjska prasa nazwała najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Europie“; jest on jednym z najbardziej zażartych nazistów, z najwyższej nazistowskiej elity, osobisty przyjaciel Dra Globke, twórcy „praw norymberskich“, szarej eminencji w gabinecie Dra Adenauera“. Tak napisał w r. 1962 o Herr F. J. Straussie Niemiec nieżydowskiego pochodzenia, T. H. Tetens, który w r. 1934 uciekł z hitlerowskiego obozu koncentracyjnego do Ameryki, i który po wojnie był członkiem Amerykańskiej Komisji Zbrodni Wojennych. Książka jego nazywa się „Nowe Niemcy i starzy naziści“, opiera się na jak najbardziej miarodajnych źródłach i tonach nazistowskich dokumentów, podaje cyfry, nazwiska i fakty, od których zimno się robi czytelnikowi. Bo mowa w niej nie o historii, ale o

dniu dzisiejszym. Między innymi pracami, na tematy niemieckiej geopolityki T. H. Tetens napisał także książkę pod wiele mówiącym tytułem „Spiski Niemiec z Kremlem“.

„Aby zrozumieć, co się dzieje w Republice Bonn musimy krótko opisać trzy fazy politycznego rozwoju powojennych Niemiec. Pierwszy okres (1945-1947) cechowało systematyczne sabotowanie programu denazyfikacyjnego Aliantów przez większość niemieckich partii, (przy świadomym udziale i zgodzie łatwomiernych Amerykanów, zainteresowanych w odbudowie Niemiec, jako bastionu anty-rosyjskiego w Europie, P.A.). Drugi okres (1948-1952) charakteryzowały starania „starej gwardii“, aby używać popularnych i cieszących się poparciem politycznych partii Niemiec, jako wehikuły dla nazistowskiej propagandy, i żeby wprowadzić eks-nazistów na czołowe i mniejsze stanowiska w administracji kraju. Trzeci okres (od 1953 do ostatnich ogólnokrajowych wyborów) odznacza się spokojną i niczym nie hamowaną infiltracją nazistów największego kalibru do partii rządzącej“ — pisze Tetens, po czym rozwija swoje tezy, wykazujące taktykę nowych i starych nazistów w „nowych“ Niemczech, podając kryminalny skład personalny i jego zaplecze w CDU, w CSU, w sądach, na wyższych uczelniach i w szkołach, w radach miejskich i w parlamentach stanowych Federalnej Republiki. Konkluduje Tetens: Zachód niczego nie nauczył

się z gorzkiego doświadczenia dwóch wojen światowych.

Najbardziej fantastyczna fikcja nie odda w stu procentach powojennego eposu nazistów, reazyfikacji części narodu z młodzieżą włącznie i powrotu nazistów do władzy. Przyczyniła się do takiego stanu rzeczy w niemalym stopniu łatwowierność zwycięzców (prócz Rosji!), ich obawa, żeby nie powtórzyć błędów Wersalu, „zimna wojna“ między dwoma mocarstwami, i chęć użycia wojskowego potencjału Niemiec dla przeciwwagi Rosji w Europie. Także olbrzymie skarby zrabowane w okupowanych krajach i od zamordowanych milionów.

Fundusze te, złoto, klejnoty i bezcenne dzieła sztuki, jak i sfałszowane dolary i funty sterlingi zostały częściowo przetransportowane do neutralnych krajów jeszcze przed upadkiem Niemiec, część ich znajduje się jeszcze w bankach zachodnioniemieckich na tajnych kontach (20 milionów marek znaleziono w r. 1956 w 2 bankach berlińskich), i na numerowych kontach w Szwajcarii, dobrze chronione tajemnicą szwajcarskiego prawa bankowego. Władze niemieckie nie starają się nawet znaleźć tych nazistowskich funduszy, mimo że stanowią one tajemnicę poliszynela w Niemczech. Wprost przeciwnie wypłacają biliony marek rocznie setkom tysięcy b. dygnitarzy nazistowskich, gauleiterom, generałom i oficerom S.S., Gestapo i Wehrmachtu, wysielańcom ze Śląska, ich wdowom i krewnym. Ludzie ci, często skazani przez sądy w ramach ustawy o ludobójstwie, otrzymują wysokie pensje, albo globalne odszkodowanie za utratę majątku (zrabowanego?) i za ... cierpienia.

Wypłacane byłym nazistom biliony stoją w rażącej dysproporcji z sumami dawanymi jak z łaski prawdziwym ofiarom nazizmu, tym którzy stracili najbliższych w piecach krematoryjnych, którzy stracili zdrowie w obozach koncentracyjnych i w gettach, którym naziści zostawili często tylko pozory życia. Obsadzono nazistami niemieckie sądy przewlekając sprawy odszkodowawcze tych ludzi ad infinitum, często aż do śmierci petentów, stosując setki prawnych kruczków, stawiając ab-

surdalne żądania niemożliwych do osiągnięcia dowodów, zmieniając nagle terminy itp. Opinia publiczna w Niemczech jest stanowczo przeciwna wypłacaniu tych odszkodowań, a neonazistowskie partie deklarują otwarcie jako swoje credo — likwidację odszkodowań, które m. innymi przypominają im ich zbrodnie.

Warto przy tym wiedzieć, że do płacenia tych odszkodowań zmusili Niemcy Alianci, a Ameryka zrezygnowała w 1950 r. z dwóch bilionów marek powojennych długów, aby Niemcy wypłacili odszkodowanie Izraelowi, gdzie znalazło schron koło miliona rozbitków, chorych i bez grosza przy duszy. Bawarscy urzędnicy są znani z tego, że systematycznie wstrzymują wypłaty ofiarom prześladowań hitlerowskich, choć mają na koncie przeznaczone na ten cel miliony marek. Wynagradzają za to byłych nazistów i ich spadkobierców dobrymi pensjami i tłustymi posadami (New York Times, 1954). Podanie blisko osiemdziesięcioletniej wdowy po człowieku zamordowanym w rzymskim getcie zostało odrzucone, bo „nie mogła przedstawić świadków śmierci jej męża“, chociaż oficjalne dokumenty świadczyły niezbicie, że z 27.000 mieszkańców rzymskiego getta nikt się nie uratował. Gdy w r. 1958, 2.294 Polaków, którzy byli zatrudnieni jako niewolnicy w I. G. Farben Industrie w Oświęcimiu, złożyło skargę o skromne odszkodowanie w wysokości 10.000 marek od osoby, sąd we Frankfurcie skargę odrzucił, z powodu „spóźnionego terminu“. Tysiące sierot żydowskich, których jedno lub oboje rodziców zamordowali Niemcy, nie dostaje nic, albo symboliczne grosze.

Po wojnie naziści najszybciej przyszedli do siebie, zreorganizowali się w Niemczech i zagranicą. Czołowi naziści, jak Dr. Globke, Erhard, Strauss i wielu innych, zajęli szczytowe stanowiska w rządzie Adenauera. W r. 1958 generał SS, Heinz Reinefarth, znany jako „rzeźnik Warszawy“ za bezlitosne tępienie polskich bojowników o wolność, został wybrany do Zgromadzenia Narodowego w stanie Schleswig-Holstein, który stał się przystanią prominentnych nazistów. W bawarskich szkołach 11.000 na 12.000 nauczycieli, którym wypo-

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MAJOR-GENERAL J. F. C. FULLER
C.B., C.B.E., D.S.O.

THE BATTLE OF WARSAW, 1920

przedruk z książki

„The Decisive Battles of the
Western World“

z okazji 50-tej rocznicy
zyciostwa
nad armią bolszewicką

Cena 3 s. z przesyłką 3/6

KSIĘGARNIA SPK,
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE
ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z
Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

wiedziano pracę po wojnie ze względu na nazistowską przeszłość, otrzymało swoje stanowiska jeszcze przed rokiem 1949, i kształci do dzisiaj nowe szeregi nazistów. Dawne albo wyższe stanowiska zajęli także byli burmistrzowie miast i sędziowie, którzy w swoim czasie byli filarami ruchu nazistowskiego. Przy pomocy szantażu, terroru, pieniędzy, pertraktacji i łapówek w odpowiednich miejscach zostali do r. 1958 zwolnieni z więzień wszyscy nazistowscy zbrodniarze wojenni, prócz Hessa, von Schiracha i Alberta Speera. Kiedy przed rokiem zwolniony został von Schirach i Speer przyjmowano ich kwiatami. Dostali olbrzymie pensje. Dzisiaj, w najbardziej kosztownym „więzieniu“ w Spandau, został już tylko jeden Hess, o którego zwolnienie ubiegają się członkowie angielskiego parlamentu. Komitet eksnazich domaga się dla niego pokojowej nagrody Nobla.

W Federalnej Republice istnieje około 90 politycznych związków i stowarzyszeń nazistowskich, które mają do dyspozycji 30 gazet, 68 wydawców książek i magazynów, 120 byłych nazistów-publicystów. Kiedy jakąś nazistowską partię delegalizują — na jej miejsce powstaje kilkanaście innych organizacji, zakamuflowanych pod nazwami instytucji religijnych, handlowych czy filantropijnych.

W młodym pokoleniu nie brak nazistów. Dziesiątki tysięcy młodych, indoktrynowanych przez rodziców, krewnych i nauczycieli, wychowanych na sfałszowanych podręcznikach historii, pomijających lub gloryfikujących okres Hitlera, posiada co najmniej 50 nacjonalistycznych organizacji. I tak np. za fasadą „Bund Deutscher Jugend“ kryje się dobrze wyszkolona tajna organizacja sabotażystów i morderców „na zawołanie“. Z tej „armii“ bandziorów i skrytobójców korzystał na swoich wiecach Adolph II von Thaden, korzystają z niej także inni mini-führerzy.

Centrala nazistowskiej partii „na wygnaniu“ mieści się w Madrycie i, jak już zaznaczyliśmy, korzysta z olbrzymich funduszy. Faszystowska Międzynarodówka rozciąga się od Malmö w Szwecji do Tangieru, od Rzymu do Buenos Aires. Kiedy w

r. 1959 nazistowski „Legion Kondor“ odwiedził Madryt, Franco powitał swoich byłych sprzymierzeńców słowami: „Uważajcie Hiszpanię za waszą drugą ojczyznę.“ Wielka koncentracja wybitnych nazistów była i jest także w Kairze, gdzie Egipcjanie zatrudniają fachowców i oficerów SS w dziedzinach takich jak antysemitka propaganda, nauka, wywiad, sprawy wojskowe. Naziści — wielu z nich znani i uznani zbrodniarze wojenni i ludobójcy, korzystają w Kairze z wszelkich wygód, mają wielkie pensje, jednym słowem żyją jak w raj Mahometa. Oni to dopomogli Nasserowi do obalenia króla Faruka, oni inspirowali stały stan wojny z Izraelem (do spółki z Rosją, naturalnie), na ich konto można złożyć szereg naukowych osiągnięć Egiptu. Nazistowskie „komórki“ znajdują się także w krajach Ameryki Łacińskiej, specjalnie w Argentynie i Peru, gdzie pod przybranymi nazwiskami, często ze zmienionymi rysami twarzy, żyją najwięksi przestępcy nazistowcy, których — na razie przynajmniej nie mogą kryć nawet ich wysoko postawieni koledzy w Federalnej Republice. Są jednak z nimi w kontakcie, pomogli im uciec, pomagają im w dalszym ciągu kiedy trzeba. Często dopuszczają się mordów na niepożrebnych świadkach.

Dlaczego Herr Heinz Riegel tak uporczywie i nie zrażając się odmowami ponawia swoje podanie o pozwolenie na wysondowanie jeziora Toeplitz w Austrii, w którym podobno naziści zatopili kilka ton złota i dokumenty? W okolicach pięknie położonego między zalesionymi górami tajemniczego jeziora znaleziono w ciągu ostatnich lat kilka trupów, których mordercy nie zostali wykryci. Kto kogo krył, gdy po wydobyciu z jeziora dwóch skrzyń z dokumentami nazistów, władze austriackie zakazały dalszego nurkowania? Jakie osobistości, niemieckie i austriackie, obawiają się ujawnienia tajemnic, i jakich? Czy za „finansowym cudem“ Niemiec znajdują się tylko fundusze i pomoc amerykańska, czy też może ci wielcy niemieccy przemysłowcy, tak wychwalani za swoją produktywność, zaradność i pracowitość, skorzystali także i z krwawych pienię-

dzy, ze złota wyrwanego z zębów ofiar, z klejnotów odebranych przed wepchnięciem ofiar do krematorium?

Szymon Wiesenthal, samotny mściciel zbrodni hitlerowskich, jednoosobowy „Instytut Dokumentacji“, który wytropił wielu nazistów z Eichmanem włącznie, twierdzi, że tak, skorzystali i nadal korzystają. Powiedział Wiesenthal w wywiadzie udzielonym we wrześniu tego roku: „W socjalistycznym rządzie Austrii znajduje się 5 nazistów, którzy piastują najważniejsze teki ministerialne. Również w obecnym rządzie Republiki Federalnej roi się od byłych nazistów, nie mówiąc już o rządzie i kołach rządzących w komunistycznych Niemczech Wschodnich, gdzie nazistów liczy się na tysiące.“ Każdy z nich posiada w kartotece Wiesenthala swoją teczkę z dokumentami na temat jego dawnej działalności, z legitymacją S.S. czy S.A., lub partijną, a także z dawnymi artykułami ich lub o nich i protokołami wystąpień publicznych.

Kiedy pytają Wiesenthala, jak walczyć z tym wszystkim, odpowiada ze spokojem: „Ja tylko spełniam swój obowiązek w imieniu milionów pomordowanych, i obowiązek ten — wydobyć na światło dzienne przeszłości morderców — spełnię do końca. O reszcie — zadecyduje historia.“

Historia? Polityka? Ludzie? Może i dzisiaj ktoś gdzieś siedzi na jakimś Downing Street świata, uśmiecha się, cynicznie, lekkomyślnie? Dziwne są i skomplikowane drogi do wolności.

Mina Tomkiewicz

Kazimierz Schleyen

LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

D o n a b y c i a :

Księgarnia SPK

20, Queens Gate, Terrace,

LONDON, S.W. 7.

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACA-
NA PRENUMERATA**

Dialogu Nuklearnego

A CZKOLWIEK przebieg rozmów pomiędzy delegacją amerykańską i sowiecką, prowadzonych w Helsinkach od 3 listopada, okryty jest tajemnicą, jednakże na podstawie pewnych „przecieków“ do prasy, sądzić można, że rozpoczęły się one w atmosferze „umiarkowanego optymizmu“.

Można zaryzykować twierdzenie, że gdyby rozmowy we Wiedniu uległy zerwaniu, lub zakończyły się bez najmniejszych szans powodzenia, prawdopodobnie nie doszłoby do podpisania na Kremlu paktu niemiecko-sowieckiego, jak również do zawarcia paktu polsko-niemieckiego, który był tematem wielomiesięcznych rokowań zarówno w Warszawie jak i w Bonn.

Być może, jako jeden z powodów, że rozmowy we Wiedniu odbywały się bez większych tarć, można przyjąć fakt, że prowadzono je w całkowitym odosobnieniu od areny międzynarodowej i obie delegacje wystrzegaly się wprowadzenia na porządek dzienny spraw tak drażliwych jak Berlin, Bliski Wschód, Wietnam, itd. Nie ulega wątpliwości, że podczas obecnej rundy rozmów, jakie toczą się w Helsinkach, obie strony również wystrzegać się będą poruszania tematów drażliwych, będących kością niezgody pomiędzy obu mocarstwami na różnych odcinkach świata.

W każdym razie, zadania obu delegacji skomplikowały się w wyniku alarmującego tempa rozbudowy przez Sowiety ich potencjału nuklearnego. Bez wchodzenia w szczegóły, wystarczy powiedzieć, że o ile podczas kryzysu kubańskiego w r. 1962, przewaga Stanów Zjednoczonych nad Związkiem Sowieckim w dziedzinie rakiet międzykontynentalnych wyrażała się w stosunku 4 do 1, to, niestety, obecnie, jak wynika ze sprawozdania złożonego przez „Armed Services Committee Kongresu Amerykańskiego w kwietniu r. b. Sowiety nie tylko uzyskały w dziedzinie broni nuklearnych równowagę pod względem liczebnym, ale osiągnęły przewagę w megatonażu w takim samym stosunku 4 do 1: mało tego, jak stwierdza powyższe sprawozdanie, Stany Zjednoczone zredukowały swój megatonaż aż o 40 procent. Ponieważ nie wszyscy orientują się w szczegółach technicznych, warto

jest dodać, że jeden megaton, odpowiada cyfrze 1-go miliona ton trotylu, albo też cyfrze 50.000 tego typu, jaką zrzucano na Hiroszimę w sierpniu 1945, ofiarą której padło około 100.000 ludzi.

Gdyby rokowania obecne prowadzone były jakieś parę lat temu, Stany Zjednoczone mogłyby negocjować z tzw. „pozycji siły“: obecnie zaś, nie myślą one o niczym innym jak o utrzymaniu „niepewnej równowagi terroru“ a przede wszystkim o tym, aby zabezpieczyć się przed konsekwencjami sowieckiego „first-strike“.

Cały ten stan rzeczy jest, niestety, wynikiem błędnych kalkulacji sprzed 8 lat, z czasów prezydentury Kennedy'ego, kiedy w Białym Domu wychodzono z założenia, że umiar w rozbudowie amerykańskiego potencjału nuklearnego będzie mógł zachęcić Sowiety do podobnego postępowania. To niezmiernie naiwne podejście, przypomina do pewnego stopnia postawę brytyjskiej organizacji CDN (Campaign for Nuclear Disarmament), z kanonikiem Collinsem na czele, organizującej słynne pochody z Aldermaston do centrum Londynu i nawołującej do jednostronnego wyzreczenia się przez Wielką Brytanię broni nuklearnych. Wynikami tych pobożnych złudzeń w Ameryce było, między innymi, zaniedbanie rozbudowy systemu obrony przeciwrakietowej „Safeguard“. Pomimo uzyskania przewagi w dziedzinie broni nuklearnych co było przykrą niespodzianką dla wielu ludzi na Zachodzie, Sowiety nie zaniedbały dalszych eksperymentów, które wykonały już po rozpoczęciu pierwszej rundy obecnych rozmów na temat ewentualnego ograniczenia wyścigu zbrojeń nuklearnych: otóż w ciągu ub. roku, i to pomimo zawarcia ze Stanami Zjednoczonymi umowy o nierobieniu dalszych eksperymentów w atmosferze, Sowiety, dokonały w głębokiej tajemnicy szereg udanych prób z nowym typem rakiety przeznaczonej do niszczenia satelitów powietrznych: wiadomości o próbach z tą rakieta,

noszącą nazwę „Cosmos 248“ dotarły do Waszyngtonu w rok po rozpoczęciu tych prób. Jak podaje miarodajny tygodnik „Washington Report“ wydawany przez „American Security Council“: „... potencjał militarny rakiety „Cosmos 248 jest olbrzymi: jeżeli idzie o jej zdolność do zestrzeliwania satelitów amerykańskich, niebezpieczeństwo polega na tym, że w razie zniszczenia przez te rakietki satelitów powietrznych amerykańskich, Stany Zjednoczone, w momencie ataku sowieckiego, mogą być oślepione. Lotnictwo Stanów Zjednoczonych miało w opracowaniu podobny projekt szereg lat temu, ale za czasów rządów Kennedy'ego projekt ten został przez ówczesnego ministra obrony, McNamare „położony pod sukno.“

Wśród trudności i różnicy zdań, jakie istnieją pomiędzy obu delegacjami, następujące, jak można sądzić, wybijają się na czoło, czyniąc znalezienie jakiejś formułki kompromisowej, nadającej się do przyjęcia przez obie strony trudnym zadaniem:

1. ustalenie „pułapu“, jeżeli idzie o liczbę rakiet wszystkich 3 kategorii, a więc wystrzeliwanych z wyrzutni lądowych, z łodzi podwodnych, i wreszcie przez ciężkie bombowce
2. ustalenie pewnej współzależności pomiędzy systemami obrony przeciwrakietowej a sowieckim arsenałem ciężkich rakiet typu SS-9, i wreszcie,
3. sprawa taktycznych broni nuklearnych w Europie, szczególnie interesująca europejskich aliantów Ameryki.

Jeżeli idzie o ustalenie „pułapu“, to parę lat temu ówczesny amerykański minister obrony McNamara wysuwał propozycję ograniczenia arsenału nuklearnego obu stron do 400 dla każdej z nich uzasadniał on swoją propozycję twierdzeniem, że tego rodzaju ilość rakiet będzie mogła mu pozwolić na zniszczenie trzech czwartych sowieckiego przemysłu, jak również pozbawienie życia jednej trzeciej ludności Związku Sowieckiego: zarazem zakładał, że dla osiągnięcia podobnego wyniku na terenie

ciąg dalszy

Stanów Zjednoczonych, Sowietaom wystarczy mniejsza ilość rakiet. Obecny minister obrony Melvin Laird wyraził pogląd, że ze względu na mniejsze zagęszczenie ludności w Związku Sowieckim oraz jego większą przestrzeń, Stany Zjednoczone dla osiągnięcia jednakowego wyniku, będą potrzebowały użyć 1.200 rakiet, podczas gdy Sowietaom wystarczy zaledwie 400.

Jasne jest, że tego rodzaju kalkulacje będą tematem długotrwałych przetargów i znalezienie jakiejś formułki kompromisowej nie będzie zadaniem łatwym.

Amerykanie są coraz bardziej zaniepokojeni szybką rozbudową przez Sowiety ich arsenału ciężkich rakiet typu SS-9 z głowicami o mocy 25 megatonów, które zdolne są nie tylko do zniszczenia amerykańskich rakiet typu Minuteman, pomimo, że chronione są przez opancerzone tunele, ale również o wytworzenia takiego chaosu w atmosferze, że cały system komunikacji radiowych i elektronicznych, przy pomocy którego prezydent Stanów Zjednoczonych przekazuje swój zaszyfrowany sygnał dla uruchomienia „odstraszaka“, może być całkowicie sparaliżowany, przekreślając w ten sposób całą amerykańską strategię „odwetu nuklearnego“ („second-strike capability“).

Ponadto, niebezpieczeństwo powyższe spotęgowane zostało na skutek znacznych ulepszeń w dziedzinie systemu kierowania lotu rakiety, zwłaszcza w fazie końcowej, dzięki czemu margines błędu w trafianiu do celu, zredukowany został do 200-300 jardów. Biorąc pod uwagę tego rodzaju postęp technologiczny, grupa uczonych amerykańskich, specjalizujących się w broniach nuklearnych, w wydanej niedawno, staraniem „American Security Council“ w Waszyngtonie publikacji wyraziła pogląd, że „... Sowiety w razie ataku nuklearnego będą mogły zniszczyć 95 procent wszystkich rakiet amerykańskich, typu Minuteman, pozostawiając dla celów odwetu nie więcej jak 50 tych rakiet...“

Odpowiedź na tego rodzaju niebezpieczeństwo grożące Stanom Zjednoczonym wydaje się być dwojaka: z jednej strony zainstalowanie systemu obrony przeciwrakietowej „Safe-guard“, który był tematem zażartej debaty w Senacie, gdzie przeciwnicy polityczni prezydenta Nixona, starali się obciążyć kredyty na ten cel, albo też, po prostu zredukowanie w arsenałach sowieckim ilości tych rakiet. Z tych właśnie względów delegacja amerykańska, zarówno podczas rozmów jakie toczyły się we Wiedniu oraz obecnie w Helsinkach, czyni wszystko co leży w jej mocy aby doprowadzić do zredukowania przez Sowiety ilości tych rakiet, będąc gotową, tytułem przetargu, poświęcić znaczną część systemu przeciwrakietowego. W kołach blisko stojących obu delegacji sądzi się, że istnieje pewna możliwość, iż obie strony będą skłonne do ograniczenia swoich systemów obrony przeciwrakietowej do Moskwy i Waszyngtonu. W związku z tego rodzaju rozwojem sytuacji, wspomniana powyżej grupa uczonych wyraziła pogląd, który zasługuje na uwagę, że: „Różnica pomiędzy arsenałem rakiet Minuteman, pozostawionych bez żadnej obrony a broniomym przez system, który nawet nie został dostatecznie wypróbowany, będzie mogła, w oczach przywódców na Kremlu, decydować o wojnie lub pokoju“.

Znalezienie odpowiedzi na ten dylemat będzie nastęrczać jeszcze więcej trudności, aniżeli sprawa „pułapu“.

Niemniej trudną do znalezienia jakiejś formułki kompromisowej jest sprawa taktycznych broni atomowych, które odgrywają, niestety, coraz większą rolę w planowaniu przez NATO obrony Frontu Centralnego, czyli Europy Zachodniej: sprawa ta komplikuje się przez to, że do kategorii tej zaliczają się również rakiety sowieckie średniego zasięgu, stacjonowane na terenie Rosji zachodniej, uzbrojone w głowice o mocy megatonu i posiadające donośność 500-2.500 mil. Otóż, podczas gdy delegaci sowieccy domagają się wstawienia na porządek dzienny ob-

rad sprawy taktycznych broni atomowych, stacjonowanych na terenie Europy Zachodniej, przede wszystkim na terenie NRF, a których ilość podana została parę lat temu przez McNamarę na około 7000 (zapewne od tego czasu ilość ich musiała wzrosnąć), jednocześnie sprzeciwiają się oni wnioskowi delegacji amerykańskiej, aby objąć tym samym porządkiem dziennym sprawę 700-750 sowieckich rakiet średniego zasięgu, będących zmorą Europy.

Głównym argumentem wysuwany przez Swiety, któremu nie można odmówić logiki, jest to, że podczas gdy wspomniane rakiety sowieckie nie mogą razić celów na terytorium Stanów Zjednoczonych, to taktyczne bronie atomowe będące w posiadaniu VII Armii amerykańskiej i Bundeswehry, jak np. Pershing a zwłaszcza MACE, posiadające donośność ok. 1.200 mil, mogą osiągnąć terytorium Związku Sowieckiego: argument sowiecki odnosi się szczególnie do rakiet wystrzeliwanych przez lotnictwo taktyczne NATO, zdolne do przebywania paruset mil, po wystrzeleniu ich przez bombowiec. Niewątpliwie, tego rodzaju argumentacja, zwłaszcza w ustach delegatów sowieckich, brzmi dosyć złowrogo, uzasadniając pesymizm tych, którzy od dawna dopatrywali się w bilateralnych rozmowach amerykańsko-sowieckich niebezpieczeństwa dojścia do porozumienia kosztem aliantów europejskich Ameryki, co pociąga za sobą powzięcie decyzji zarówno przez Francję jak i Wielką Brytanię odnośnie posiadania własnego, niezależnego „odstraszaka“ nuklearnego.

Wszystko to tłumaczy, dlaczego obecne rozmowy w Helsinkach śledzone są tak uważnie przez cały świat, a zwłaszcza przez partnerów lub „aliantów pod batem“ — jak można określić satelitów lękających się, aby oba supermocarstwa nie doszły do porozumienia ich kosztem.

SZYBKO I TANIO!
 Biuletyny, ulotki reklamowe,
 druki jedno- i wielobarwne
 wykonują
 ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
 171, Battersea Church Road,
 LONDON, S.W. 11.
 Tel. 01-228 0879

POD powyższym tytułem ukazała się książka, wydana przez Instytut Literacki w Paryżu. Autorem książki jest W. Bieńkowski, komunista od r. 1930, osobisty przyjaciel Gomułki, minister oświaty w latach 1956-1959, wydalony z partii 1969 r z racji opublikowania książki „Motory i hamulce socjalizmu.“

We wstępie do swej nowej książki Bieńkowski zwraca uwagę na paradoks, jaki istnieje w rolnictwie europejskim. Z jednej strony mamy do czynienia z nadmiarem produkcji rolnej w Europie Zachodniej i wskutek tego np. we Francji opracowano plan zredukowania ziem uprawnych o 1/3, tj. o 12 milionów ha. i przeznaczenie ich na zalesienie oraz stworzenia gospodarstw o obszarze 80 ha., to z drugiej strony kraje socjalistyczne ciągle borykają się ze zbyt powolnym wzrostem produkcji rolnej, nie nadążającej za rosnącymi potrzebami. A oto słowa autora: „W rozwiązywaniu problemów wsi i rolnictwa kraje socjalistyczne natrafiły na nieoczekiwane trudności bardzo złożonego charakteru, które nigdy dotychczas nie zostały poddane głębszej analizie, a które tej analizie koniecznie potrzebują, jeśli chce się dokonać kroku w kierunku ich przezwyciężenia. Konieczność otwartej i rzeczowej dyskusji jest widoczna, szczególnie w Polsce ... sprawa jest nie tylko ważna — jest również pilna, przeciwko nam bowiem pracuje czas, którego już wiele zużyliśmy bezproduktywnie. Po 25 latach prób i błędów rozporządzamy już dostatecznym bagażem doświadczeń własnych i cudzych — dla znalezienia rozwiązań zgodnych z kierunkiem, w którym zdążamy, zgodnych z interesem kraju! Nie ma potrzeby udowadniać, że kierunek, obrany przez partię, nie jest zgodny z interesami kraju“.

Powołując się na Marksa, Bieńkowski twierdzi, że wskutek rozwoju kapitalizmu i przenoszenia się małych chłopów do przemysłu powstały wielko-obszarowe farmy, korzystające z pracy najemnej. Lekarstwem na to zjawisko miało być przekształcenie drobnych gospodarstw chłopskich w spółdzielcze gospodarstwa (kolchozy). Jednakże rozwój rolnictwa poszedł w innym kierunku i już w drugim ćwierćwieczu nasze-

MICHAŁ WYRWICZ

KRYZYS ROLNICTWA CZY

go stulecia widzimy utrwalanie się pozycji średnich, przeważnie rodzinnych gospodarstw, którym przyszedł z pomocą traktor. Ponadto elektryfikacja wsi pozwoliła na zmechanizowanie całego szeregu prac.

Autor stawia pytanie na czym polegają nieporozumienia socjalistycznej przebudowy rolnictwa. Zdaniem Bieńkowskiego rewolucja miała oznaczać przejście od rozdrobnionej gospodarki chłopskiej do zespołowego, a więc kolektywnego gospodarowania, ponieważ sądzono, że tylko gospodarstwa wielko-obszarowe, dzięki mechanizacji, zdolne będą podnieść wydajność pracy, zmniejszyć liczbę ludności rolniczej i przesunąć ją do pracy w przemyśle. Ten tok myślenia doprowadził do przymusowej kolektywizacji, ale jej realizatorzy nie zdawali sobie sprawy z ekonomicznych, organizacyjnych, społecznych i psychologicznych następstw. A co się tyczy gospodarstw państwowych sowchozów, to nawet sam Stalin powiedział: „Daleki jestem od t. go, żeby nie doceniać wielkiego, rewolucjonizującego znaczenia naszych sowchozów. Ale jeżeli zestawić olbrzymie sumy zainwestowane przez państwo w sowchozy z obecnymi faktycznymi wynikami ich pracy, ujrzymy olbrzymią dysproporcję na niekorzyść sowchozów.“ Uwaga Stalina odnośnie sowchozów pasuje, jak ułaj do polskich sowchozów, zwanych Państwowymi Gospodarstwami Rolnymi (PGR-Y). Zaznaczyć wypada, że masowo utworzone kolchozy nie otrzymały nawet ułamka tych środków, jakie zainwestowano w sowchozach.

W dwadzieścia lat po przymusowej kolektywizacji, mimo oplakanych jej rezultatów, tzw. państwa socjalistyczne weszły na tę samą obłądną drogę. A oto co sam autor mówi na ten temat: „Istniały już wówczas dwa ważne elementy, które mogły pomóc zrozumieć całą odmienną problematycę socjalistycznej przebudowy wsi. Istniały doświadczenia rolnictwa w krajach kapitalistycznych, które ogólnie biorąc, nie poszły w przewidywanym przed pół wiekiem

kierunku — nie poszły w kierunku wielkich kapitalistycznych fabryk rolniczych. A nie poszły z ważnych ekonomicznych przyczyn, które bynajmniej nie przestały działać w ustroju socjalistycznym. Ponato istniały doświadczenia już prawie 20 lat kolektywów radzieckich — doświadczenia niewątpliwie negatywne, które mogły być cenną wskazówką przy szukaniu rozwiązań. Mimo to kraje demokracji ludowej prowadziły kolektywizację dokładnie według tego samego modelu.“ Kierujący gospodarką rolą aparat partyjny nie był przygotowany do rozwiązywania problemów w tej dziedzinie. Co, kiedy i gdzie zasiać, kiedy żąć decydowało nie gospodarstwo, lecz odległe i niekompetentne komitety partyjne, które o gospodarce rolnej nie miały pojęcia. Fatalnym błędem był podział warsztatu rolnego na ziemię i park maszynowy, z obawy przed utratą kontroli politycznej. Jak doświadczenia Zachodu dowodzą, traktor opłaca się już w 10-ciu hektarowym gospodarstwie i jest nierozzerwalną częścią gospodarstwa rolnego. Drugim, bardzo ważnym czynnikiem w rolnictwie jest fakt, że główna podstawa opłacalności opiera się na dodatkowej pracy rolnika. Ta dodatkowa praca znalazła zastosowanie na nikłym obszarze gospodarstw przyzagrodowych, które pozostawiono rolnikom po kolektywizacji (2 do 4 procent zabranej ziemi), a które stawały się głównym źródłem utrzymania rolnika, a stopniowo również ważnym producentem dla rynku. Politycy nie mogli pojąć, dlaczego kolektywizacja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, wobec tego partyjnicy zabrali się do uświadamiania chłopów o dobrodziejstwach socjalizmu. W związku z tym autor pisze: „Na marginesie tego zagadnienia koniecznie uświadomić sobie trzeba, że cały nasz aparat partyjny i administracyjny, wychowany na swoich pojmowanych metodach budowy socjalizmu, okazał się całkowicie niezdolny do zrozumienia problemów rolnictwa, a metody jego pracy, me-

KRYZYS POLITYKI ROLNEJ?

tody kierowania stoją w jaskrawej sprzeczności z organizacyjnymi i technologicznymi potrzebami gospodarki rolnej ... Nasz system całą inicjatywę skupia w ośrodkach władzy politycznej ... „Nieco dalej czytamy: „Kolektywizacja gospodarstw chłopskich nie mogła rozwiązać problemu ustrojowej przebudowy wsi, ponieważ wyszła z jawnie fałszywych założeń co do ekonomicznych podstaw chłopskiej gospodarki rolnej, a w konsekwencji i fałszywych poglądów na społeczno-klasową strukturę wsi. Fałszywe założenia podyktowały metody dalekie od elementarnych wymogów rozsądku, których wiadomym rezultatem była dewastacja i dezorganizacja gospodarki rolnej, powodująca opóźnienia rozwoju rolnictwa w krajach socjalistycznych o wiele lat.“ W dalszym ciągu swych rozważań autor zastanawia się nad przyszłymi perspektywami, jakie stoją przed rolnictwem, a w szczególności jak długo da się utrzymać sytuacja, wymagająca pracy dodatkowej, nie wchodzącej do ekonomicznej kalkulacji pracy rolnika. Odpowiedzią na to pytanie jest tworzenie gospodarstw 80-100 ha, wysoce zmechanizowanych i redukujących lub eliminujących pracę dodatkową. Zanim znajdzie się właściwe rozwiązanie, trzeba zdać sobie sprawę z szeregu ujemnych następstw polityki partii. Jednym z nich jest niepewność perspektywy dla gospodarstw chłopskich. Politykę partii w rolnictwie po r. 1956 autor charakteryzuje w następujący sposób: „Żywiołowo dokonany w 1956 r. odwrót wsi od spółdzielni produkcyjnych postawił naszą politykę wobec ciężkiego dylematu. Z jednej strony, nie można było nie uznać dodatnich skutków tego odrotu. Dość szybko odczuło je całe społeczeństwo, a z tego oddechu skorzystała cała gospodarka narodo- wa. Z drugiej jednak strony, gnębiła nas świadomość, że w ten sposób zeszliliśmy z usankcjonowanego szlaku, który prowadził do socjalizmu, staliśmy się w pewnym stopniu obcym ciałem w socjalistycznej rodzi-

nie. Przekonanie, że indywidualne gospodarstwo chłopskie nie da się pogodzić z socjalizmem, że jest owym obcym jajem, z którego każdej chwili może się wykluć potwór kapitalizmu, było i jest ciągle głęboko wpojone w świadomość i całą społeczną praktykę naszego partyjnego aktywu. Wszelkie odstępstwo od tego programu mogło być uważane za taktyczną zwłokę.“ Po październiku kolektywizację chciano osiągnąć innymi sposobami. W tej sytuacji zrodziła się polityka niezdecydowania, która pozostawiła znaczną część ciężarów i restrykcji okresu poprzedniego. Zwalczały się dwie tendencje: z jednej strony chęć szukania jakiegś własnej, sensownej drogi, z drugiej strony przywiązania do dogmatu. Te sprzeczne tendencje były powodem zygzakowatej polityki rolnej, aż wreszcie doszło do deklaracji kierownictwa, że głównym zadaniem partii odnośnie rolnictwa jest doprowadzenie wsi do kolektywnej gospodarki. Ta decyzja ostatecznie zrujnowała zaufanie chłopów do polityki rolnej partii, a skutki tego nie kazały na siebie długo czekać. Gdy partia twierdzi, że rozpad spółdzielni produkcyjnych w rolnictwie nastąpił na skutek działania sił antysocjalistycznych, chłop zrozumiał, do czego to wszystko zmierza. Na skutek wytycznych III zjazdu w niepublikowanych dyskusjach i uchwałach przewidywano pełną kolektywizację przed 1980 r. Na ten temat autor pisze: „Ta próba wyrównania linii frontu i dogonienia rolnictwa pozostałych krajów socjalistycznych nie wywoła entuzjazmu wśród działaczy gospodarczych, którzy byli świadomi, że powtórzenie doświadczeń stalinowskich grozi w obecnej sytuacji znacznie cięższymi następstwami dla całej gospodarki kraju. Przeciw dogmatowi o przodującym socjalistycznym charakterze gospodarki kolektywnej przemawia rzeczywistość, znaczne stosunkowo postępy w indywidualnym rolnictwie polskim i trudności z jakimi we wszystkich krajach borykała się gospodarka kolektywna. „W okresie przed i po

IV-tym zjeździe doznano znacznych rozczarowań na odcinku kółek rolniczych i w związku z tym zaczęło się utrwalac przekonanie, że kółka te nie staną się łagodniejszą formą kolektywizacji. W wyniku tego wszystkiego partia wkroczyła na drogę intensywnej pegieeryzacji (sowchozy) mimo, że koszt zagospodarowania przez PGR'y jednego ha gruntu dwukrotnie przewyższa cenę tej ziemi. U podstawy tej polityki leży przekonanie, że po przeprowadzeniu dalekosiężnej pegieeryzacji państwo będzie dysponowało znacznie większą masą towarową, co pozwoli na łatwe uporanie się z gospodarstwami indywidualnymi. Zapomina się przy tym, że przymusowa kolektywizacja pozostawiła po sobie ślady, które nie dadzą się zatrzeć nawet w ciągu dziesięcioleci. Nie tedy dziwnego, że chłopci na kółka rolnicze patrzą, jak na zakamuflowaną formę kolektywizacji. Nie należy się temu dziwić, skoro aparat partyjny patrzy na kółka rolnicze w sposób identyczny. To doprowadziło do załamania się całej koncepcji, bo w aparacie partyjnym nie było ludzi, zdolnych do zrozumienia problemów wsi. Nie małą rolę odgrywał tu zakorzeniony dogmat, że „socjalistyczne“ może być tylko „uspołecznione“, że każde popieranie indywidualnych gospodarstw chłopskich jest odchodzeniem od socjalizmu i popieraniem elementów kapitalistycznych.

W części 8-ej rozważań, zatytułowanej „Co robić?“ Bieńkowski pisze: „Mimo naszych wysiłków i poważnych nakładów w ostatnim okresie, mimo pewnych osiągnięć w podnoszeniu poziomu rolnictwa — musimy być świadomi, że rejestr naszych długów wobec wsi, naszych zaległości i grzechów jest bardzo długi. Nasza praktyka w ciągu ćwierćwiecza przyczyniła się do pogorszenia struktury rolnej ... Nasza polityka płacze się w sprzecznościach, nie wiemy co popierać — małe, czy większe gospodarstwa ... Nie zrobiliśmy nic, aby zlikwidować na znacznych obszarach nonsensowną szachownicę gruntów. Tysiące wsi wymagają komasacji. Nie zrobiliśmy tego oczekując, że załatwi to kolektywizacja ... W ciągu ćwierćwiecza nie umieliśmy i nie chcieliśmy wprowadzić wsi spod słomianej strze-

ZBYT WIELE wydarzeń polityki międzynarodowej określano jako „przełomowe“, by nie zaszczyć powątpiewania w trafność takich górnołotnych przymiotników. Zwłaszcza w tych społeczeństwach, które mają nadmiar historii w swoich żyłach. Co znaczy, że zbyt często bywały świadkami przewalania się kół historii przez ich terytorium i przez ich własne życie.

Do takich społeczeństw należy, takim narodem jest naród polski. „Nadmiar historii“ to bogactwo wydarzeń o których nie tylko długo się pamięta, lecz, których skutki długo się odraabia. Z tym wynikiem, że następujące po sobie pokolenia częściej żyją w obawie nowych wydarzeń, niż w nadziei nowych wydarzeń.

Tysiąc lat zagrożenia od strony Niemiec, obawy przed podbojem i fizycznym wyniszczeniem — jest, oczywiście, uproszczeniem historii. Bywały okresy, gdy o tym zagrożeniu nie pamiętano, bywały też inne, gdy można było o nim nie pamiętać. Ale nie jest uproszczeniem bilans krzywd i strat ponoszonych przez Polaków wskutek sąsiedztwa z narodem niemieckim. Straty terytorialne, narosły od tysiąclecia — niektóre z nich już zapomniane — zostały przekreślone jednym pociąg-

PAWEŁ ZAREMBA

nięciem w wyniku II wojny światowej. Granica na Odrze i Nysie odebrała narodowi niemieckiemu wszystko co na swym wschodzie zdołał zdobyć. Ten nowy stan rzeczy trwa już 25 lat. W ciągu tych lat 25-ciu naród polski zdołał swe Ziemie Zachodnie i Północne zintegrować z resztą swego powojennego terytorium, zamienić z „odzyskanych“ w nierozzerwalnie złączone w jednym organizmie państwowym i w jednym obszarze narodowego osiedlenia. Zappełnił je ludnością, przynajmniej w połowie już na tych ziemiach zrodzoną. Co ważniejsze, wytworzył wokół nich atmosferę całkowitej zgodności poglądów, jakiej nie ma w żadnej innej sprawie.

Od dnia 7 grudnia 1970 roku przynależność tych ziem do Polski ma formalną aprobatę Niemiec. Po paru zaledwie miesiącach pertraktacji, kanclerz NRF podpisał w Warszawie traktat uznający bez zastrzeżeń bieg Odry i Nysy jako zachodnią granicę Polski. Podpisaniu towarzyszyła atmosfera doprawdy niezwykła. Była ze strony niemieckiej przy-

Czy więcej niż

znaniem, że rezygnacja z „niemieckiego Wschodu“ jest wynikiem win, które ją obciążają. Obciążają zwłaszcza za czasy najnowsze, za barbarzyństwo i oblęd hitlerowski — tego „przestępczego ustroju“ jak go nazwał kanclerz Brandt. Nie za czasy Grunwaldu i nie za politykę Fryderyka II odbywał Brandt swą warszawską Canosę. Odbywał ją za Oświęcim i Majdanek, za getto warszawskie i za zburzenie Warszawy po Powstaniu, za grzech jaki popełnił naród niemiecki dając wiarę zapewnieniu, że jest narodem panów — za wszystko co spotkało Polaków z ręki Niemiec pod panowaniem Hitlera oraz za to co ich miało spotkać gdyby Niemcy wojnę wygrały.

Ten moment ekspiacji wyrażonej przez człowieka, który sam z Hitlerem walczył, podchwyciła prasa światowa jako najbardziej zadziwiający aspekt pobytu Brandta w Warszawie. Klęknął na oba kolana przed pomnikiem Bohaterów Getta i szepotał słowa, których nikt nie słyszał, lecz które musiały być modlitwą. Sobie samemu wystawił w tej chwili

KRYZYS ROLNICTWA ...

chy, która do dziś dnia jest pieczołowicie przechowywaną pamiątką o byłym zaborze rosyjskim. Utrudnialiśmy i utrudniamy inwestycje chłopskie. Utrudnialiśmy budowę izb mieszkalnych w rzekomym preferowaniu budownictwa gospodarczego — jakby nie rozumiejąc, że chłop mieszkający w prymitywnej i walekiej się izbie nie może być nowoczesnym rolnikiem. Sprawa budownictwa wiejskiego — spiętrzenie tysięcy przeszkód przed chłopem, który chce wybudować chałupę czy obórkę — to ciemna karta naszej wiejskiej i rolniczej rzeczywistości. Organizację produkcji rolnej, zaopatrzenie wsi w środki produkcji, zbytu i przetwórstwa utrzymujemy na poziomie znanym już w niewielu zafancych krajach Europy. Chłop, aby nabyć kwintal nawozu, aby dostarczyć zboże czy swinę do punktu skupu, aby załatwić jakąkolwiek sprawę

w urzędzie, traci za każdym razem przynajmniej jeden dzień wraz z zaprzęgiem ... Jesteśmy bezradni wobec faktu, że wydaliśmy chłopu na pastwę rozpanoszonej biurokracji, i łapownictwa.“

Ze swoich rozważań Bieńkowski wyciąga następujące wnioski: 1. Najtańszą formą produkcji rolnej jest produkcja w indywidualnym rodzinnym gospodarstwie chłopskim. 2. Najszybszy rozwój produkcji przy najniższym nakładzie można osiągnąć w gospodarce chłopskiej. 3. Nie stać nas na to, aby do całej produkcji rolnej dopłacać tyle, ile dziś dopłacamy do gospodarstw państwowych. 4. Tylko rodzinne gospodarstwo chłopskie może nakładem pracy kompensować nasze zacofanie techniczne. 5. Gospodarstwo chłopskie nie jest formą sprzeczną z socjalizmem i z socjalistyczną gospodarką planową — przeciwnie, jest doskonałą formą, da-

jącą się tej gospodarce podporządkować dzięki temu, że swoje produkty sprzedaje przede wszystkim państwu i wszystko od państwa kupuje, jest więc częścią składową gospodarki socjalistycznej.

Jednym ze sposobów uleczenia rolnictwa polskiego jest, zdaniem autora, zmiana polityki rolnej partii w kierunku upełnolnienia gospodarstw chłopskich i zastosowania całej gamy środków aż do wykupu ziemi przez państwo i przekazywanie jej na tworzenie wzorowych gospodarstw chłopskich, oto jedno z ważnych i pilnych zadań, jakie Bieńkowski stawia przed partią. Istnieje jednakże uzasadniona obawa, że doktrynerzy dogmatycy na drogę rozsądku nie wejdą i że naród w dalszym ciągu będzie drogo płacił za szaleniczą politykę partii.

Michał Wyrwicz

podpisy na traktacie?

Brandt świadectwo wielkiego charakteru i wielkiej odwagi. Należy mu się za to szacunek.

I to bez względu na to jakie są pobudki, przesłanki i cele oraz jakie będą polityczne skutki zapoczątkowanej przez niego „Ostpolitik“, której częścią składową jest uznanie przez NRF polskiej granicy zachodniej w ramach tak zwanej normalizacji stosunków. Normalizacji stosunków z Polską, lecz nie tylko z nią. Bo normalizacja jako zjawisko polityczne ma dotyczyć całego obozu państw rządzonych przez komunistów z ich hegemonem rosyjskim na czele. Bez zgody hegemonu rosyjskiego normalizacji być nie może.

Całą symbolikę więc „przełomowego wydarzenia“ w historii Polski i Niemiec ograniczyć wypada do tych jego atrybutów, które piętują wszystko co w tej historii było złe. I dlatego zachowanie się Brandta w Warszawie jest ważniejsze niż jego podpis złożony na jednym dokumencie z podpisem Cyrankiewicza.

Po podpisaniu traktatu przeważna część prasy niemieckiej pisała o zapłaceniu „ostatniej raty hipoteki“ pozostawionej narodowi niemieckiemu przez Hhtlera. Tych samych słów, lub podobnych, używają w Bundestagu Brandt i jego zwolennicy. Używają ich też przeciwnicy jego „Ostpolitik“. A w rozumowaniu przeciętnego Niemca uzasadnieniem traktatu z Polską, podobnie jak uzasadnieniem wielu innych aktów prawnych i faktów politycznych jakich dokonała Niemiecka Republika Federalna jest jedno tylko zdanie: „Wir haben der Krieg verloren“. Ma to swoje odbicie w przeróżnych sondażach opinii. Zawsze przewagę nad innymi mieć będzie odpowiedź, że traktat z Polską jest koniecznością, względnie, że go konieczność Niemcom narzuciła.

Innymi słowy, w przekonaniu Niemców, względnie ich większości, traktat z Polską jest spojrzeniem w oczy dzisiejszej rzeczywistości międzynarodowej, zalegalizowaniem sytuacji Niemcom narzuconej; w imię

wyciągnięcia jak największych korzyści politycznych na przyszłość.

Trudno potępiać Niemców za takie stawianie sprawy. Nawet ci spośród nich — a jest takich wielu — którzy przyznają istnienie elementu winy i wypływającego z niej zobowiązania moralnego nie posuwają się tak daleko, by uznanie polskiej granicy zachodniej uważać za dobrowolne wyrzeczenie. I Brandt był tu bardzo szczerzy i szczerą jest prasa niemiecka gdy pisze, że wyrzeczenie to dokonywane jest z ciężkim sercem. Także z tego względu, że odpisuje się na straty nie tylko jedną czwartą przedwojennego terytorium państwowego, ale odpisuje się na straty sens i treść własnej historii. A przynajmniej znacznej części historii. Tu poglądy Niemców i Polaków nigdy się chyba nie zejdą, nawet przy — oby jak największym obiektywizmie przyszłych opracowań historycznych. Bo co dla nas było klęską, dla nich było zwycięstwem — co dla nas stratą, dla nich zyskiem. Trudno się też spodziewać, by przyszłe pokolenia Niemców, nie mówiąc już o dzisiejszym, zapomniały i odrzękły się nazwisk tych Niemców, którzy żyjąc w Królewcu, Wrocławiu czy Szczecinie zapisali się czymś pamiętnym w literaturze, filozofii, sztuce a nawet w polityce. Tych spraw i faktów nie można objąć rezygnacją, podobnie jak nie można przekreślić tego wszystkiego co dały polskiej kulturze, literaturze i dziejom ziemie położone za Bugiem, Bunt psychiczny przeciwko temu co się stało może być w Niemczech łagodny, może unikać rozgłosu, lecz będzie żywy. Jeżeli więc normalizacja ma obejmować także zapomnienie — to zapewne nie doczekamy się jej w tym stuleciu.

Nie ma to nic wspólnego z praktycznym oporem przeciwko faktom politycznym powstałym wskutek „Ostpolitik“ Brandta. W NRF nie ma sił, zdolnych do odwrócenia tego co się stało. I to pomimo opozycji w Bundestagu i protestów ze strony związków uchodźczych. Zapewne będą się powtarzać zastrzeżenia. Argument, że decyzje naprawdę osta-

teczne nastąpią dopiero w traktacie pokojowym, będzie się pojawiać przy niejednej okazji. Będzie się też w NRF kładło nacisk na zastrzeżenie, o którym rząd Brandta także nie zapominał, że NRF na traktacie położyła podpis tylko we własnym imieniu, a więc nie w imieniu przyszłych zjednoczonych Niemiec, gdyby do zjednoczenia kiedykolwiek doszło. W argumentach tego rodzaju więcej będzie kazuistyki niż znaczenia politycznego. Bo „przyszły traktat pokojowy“ stał się dziś pojęciem całkowicie abstrakcyjnym, a skromność z jaką NRF ogranicza swą reprezentatywność tylko do dzisiejszego terytorium i tylko do swych obywateli stoi w sprzeczności z dotychczasową jej postawą, że reprezentuje, właśnie ona i tylko ona wszystkich Niemców i wszystkie interesy niemieckie. Stanowisko takie odrzucała Rosja, odrzucały najgwałtowniej Niemcy Wschodnie i odrzucała Polska. Co jednak nie zmienia faktu, że w oczach całego świata i w oczach Polaków „Niemcy“ to właśnie NRF. Gdyby było inaczej nie podpisywano by przecież traktatu, którego podstawowym artykułem jest uznanie granicy zachodniej Polski przez państwo, nie graniczące z Polską.

Są to sprawy marginesowe gdy o ocenę polityczną położenia Niemiec chodzi. Tu sedno rzeczy przedstawił lapidarnie „Stuttgarter Zeitung“ nazajutrz po podpisaniu układu w Warszawie: „Nie ma takiej siły na kuli ziemskiej, która by poparła rewizjonizm niemiecki. Niemcy nie mają żadnej drogi powrotu do Wrocławia“.

Droga ta została dla nich zamknięta nie 7 grudnia 1970 roku, lecz w ciągu 25 lat, jakie nas dzielą od wytyczenia granicy i decyzji poczdamskiej. Traktat w którym NRF uznaje polskie granice zachodnie nie stwarza nowej rzeczywistości politycznej. Nie ma żadnych powodów by go uważać za „wydarzenie przełomowe“ w sensie politycznym. Nie będąc „przełomowym“ jest jednak bardzo ważnym. Ważnym dla obu stron, choć na pytanie „dlaczego jest to wydarzenie ważne“ każda z nich odpowie inaczej.

Zacznijmy od odpowiedzi niemieckiej.

By ją móc odgadnąć trzeba przede wszystkim stwierdzić czym normalizacja stosunków NRF z blokiem komunistycznym nie jest, pomimo obaw i pomimo natarczywych zachęt ze strony sowieckiej. Obawy, że „Ostpolitik“ nie jest swoistym przetarciem drogi do „nowego Rapallo“ — a powtórzmy, że nie brak było zachęt sowieckich w tym kierunku — z możliwością powolnego „odwrócenia przymierzy“ nie znalazły potwierdzenia w faktach. Cynik mógłby odpowiedzieć, że nie znalazły tylko dlatego, że Sowiety nie mogły pokazać Niemcom wystarczająco atrakcyjnej przynęty. Być może, że tak było. Być może, że rezygnacja z Niemiec Wschodnich, wyrażenie zgody na zjednoczenie Niemiec — nekoniecznie na warunkach Bonn, lecz w oparciu o jakąś kombinację konfederacyjną — było by przynętą dostatecznie silną. Lecz na taki krok Sowiety nie zdobyły się, nie miały zamiaru się zdobywać i nie mogły się zdobyć. Bo wymagałoby to nie tylko rewizji polityki zagranicznej lecz rewizji ustroju, całej struktury bloku sowieckiego a nawet dokonania daleko sięgających zmian w tzw. „ideologii“. „Nowe Rapallo“, nawet jeśli oczyścić je ze złowrogich reminiscencji wspólnego frontu rosyjsko-niemieckiego skierowanego przeciwko Polsce, było tylko balonem propagandowym, straszakiem stosowanym przez Kreml, dla wywołania niepokoju w Polsce, podniecenia opinii na Zachodzie, podrażnienia Ulbrichta i roztoczenia bliżej nieokreślonych perspektyw przed Niemcami Zachodnimi. Jak każdy balon propagandowy także i „nowe Rapallo“ służyć miało różnym celom naraz, lecz żadnego tym razem nie osiągnęło. Co prawda, entuzjazm towarzyszący w Niemczech pertraktacjom „normalizacyjnym“ z Rosją i traktatowi z 12 sierpnia br. budzić musiał sporo reminiscencji, a jeszcze więcej zdziwienia — lecz okazało się zaraz, że co innego zapał inwestycyjny przemysłu niemieckiego, a co innego założenia polityczne rządu Brandta.

Bo zapewnienia NRF, że normalizacja stosunków na wschodzie nie oznacza rozluźnienia powiązań z zachodem należy uważać za prawdziwe.

Istotnym celem polityki niemieckiej jest **rebus sic stantibus** — dłuższa integracja Europy Zachodniej przy ich czynnym, a właściwie przywódczym udziale. I tu właśnie leży korzeń z radykalnego odcięcia się od tendencji rewizjonistycznych. Gdyż te właśnie potencjalne pretensje przeszkadzały dotychczas Niemcom w zajęciu przywódczego stanowiska w Europie Zachodniej. Ich potęga gospodarcza dawała im przewagę nad innymi członkami Wspólnoty Gospodarczej. Lecz były państwem o utajonych ambicjach, względnie o ambicjach nieznanych. Tym samym były niebezpieczne dla związków międzynarodowych, które żadnych ambicji nie mają, a celami politycznymi nie sięgają poza problem własnego bezpieczeństwa. Dziś Niemcy przestają być i dla swych partnerów europejskich i dla Stanów Zjednoczonych partnerem nieobliczalnym i zainteresowanym sprawami, które ich — poza Ameryką — nie interesują. W swej istocie „Ostpolitik“ jest w większym stopniu „disengagement“ na wschodzie niż „normalizacja“ ze wschodem. Jest złożeniem dowodu przed partnerami zachodnimi, że nie spotkają ich żadne kłopoty z winy powiązań i zainteresowań niemieckich na Wschodzie.

Oczywiście, pozostaje sprawa zjednoczenia Niemiec. Z tego hasła NRF nie może rezygnować. Może je jed-

nak znacznie osłabić i osłabia, czego dowodem jest stopniowa zmiana nastawienia w stosunku do geograficznego faktu istnienia „drugiego państwa niemieckiego“. Jak będzie wyglądała normalizacja z Niemcami Wschodnimi zależy w pierwszym rzędzie od nacisku rosyjskiego. Dziś Rosji na normalizacji zależy, a Ulbricht jej się boi. Jest to, oczywiście, sytuacja tymczasowa i może ulec zmianie, nawet lub przede wszystkim z inicjatywy Rosji. Ale z tego rodzaju możliwością liczyć się musi każdy, i zawsze, jeśli nie zapomina, że każda linia polityki międzynarodowej przyjmowana przez Związek Sowiecki jest zawsze „tymczasowa“. Ze sprawą NRD łączy się sprawa Berlina zachodniego. Czy rzeczywiście NRF uzależnia ratyfikację traktatów już zwawartych, to jest z Sowietami i z Polską, oraz tych które zawrze np. z Czechosłowacją od ulżenia doli Berlina zachodniego. Należy się na tym polu spodziewać dalszych zadrażnień występujących okresowo lecz nie należy się spodziewać „intransigeance à l'outrance“ ze strony NRF. Raczej będzie to punkt przetargowy, jakim jest dotychczas, z tym, że ciężar przetargu spoczywać będzie „na mocarstwach kontrolujących“ czyli na Ameryce i W. Brytanii z jakimś udziałem Francji.

Korzyści jakie z „normalizacji“

IDEALNY PODAREK DLA NASZYCH NASTOLATKÓW

Niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu
Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e :

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

wyciąga Rosja są oczywiste i nie warto nad nimi się rozwodzić. Nie zrezygnowała z niczego, otrzymała wiele. Pomoc gospodarczą i technologiczną, ostrzeżenie pod adresem Chin, że nie nie krępuje Rosji od strony zachodniej w rozgrywce z nimi. Chiny ostrzeżenie już zrozumiały i już z tego wyciągają ostrożne wnioski. A dalej: zapomnienie inwazji Czechosłowacji i tym samym polepszenie perspektyw europejskiej konferencji bezpieczeństwa na której Sowieci zależy bardziej niż kiedykolwiek w obliczu trudności wewnętrznych i niesnasek z zachodnimi komunistami, zwłaszcza z partią włoską. Jedyne ustępstwo Rosji to odejście od warunku uznania NRD przez NRF. Z warunku tego pozwolono też zrezygnować władzom PRL, co jest także korzyścią dla Polski, której przez długi czas kazano pod osłoną słów granica na Odrze bronić imperium kremłowskiego na Łąbie.

Ocena traktatu z NRF ze strony polskiej jest najtrudniejsza. Przede wszystkim z uwagi na dualizm pojęcia „strona polska“. Władze komunistyczne podpisały traktat za zgodą czy na polecenie Moskwy. Straciły tym samym tak cenny dla siebie argument niebezpieczeństwa rewanżyzmu niemieckiego, którym szermowały tak długo i skutecznie w walce przeciwko własnemu narodowi. Lecz, z drugiej strony, podpisując traktat wiedziały, iż będzie to jedyny z dotychczasowych dokumentów przez nie podpisanych, który ma pełną aprobatę narodu. Jest to sytuacja wyjątkowa. Lecz tu też uprzytamniają się różnice. Dla narodu polskiego traktat z 7 grudnia 1970 roku ma obowiązywać na zawsze bez względu na ustrój Polsce narzucony. Ma być gwarancją przyszłości w określonych i niezmiennych granicach państwowych. Ma zastąpić rosyjską ochronę tej granicy. „Normalizacja“ ma być polepszeniem na przyszłość stosunków między narodem polskim i niemieckim, a nie między blokiem komunistycznym a NRF. Nie komunizm w polskim wydaniu, lecz naród polski ma odnieść korzyści z traktatu w którym zobowiązania podejmuje naród niemiecki. Bo dla Polaków jak i dla

całego świata pomimo wszystkich formalności NRF reprezentuje naród niemiecki. Dlatego istotnie ważny jest traktat podpisany w Warszawie, a nie traktat podpisany przed 16 laty w Zgorzelcu.

Przeciwnicy traktatu w NRF już dziś podchwytingają dość umiejętnie komplikacje płynące z dualizmu pojęcia „strona polska“. Słazak Hubka, imieniem „Vertriebene“ potępia „ustępstwa poczynione żądaniom polskiego nacjonalizmu i polskiego komunizmu“. Poddaje w wątpliwość wolę narodu polskiego, gdyż jej wyrazicielem jest władza komunistyczna. A skoro ustrój komunistyczny nie jest wieczny...

Na pewno nie jest wieczny, a zgodna wola narodu Polskiego by jej Ziemi Północne i Zachodnie do Polski należały nie jest bynajmniej jednoznaczna z wyrzeczeniem pragnienia zrzucenia hegemonii rosyjskiej i pragnieniem odzyskania wolności.

O Ziemi Zachodnie nie zaczęliśmy wojny. Wojnę nam narzucił Hitler w przymierzu ze Stalinem. O tym opinia niemiecka przypomina konsekwentnie i przypominać powinna. Bo spłaca wobec Polski hipotekę Hitlera, do której powstania przyczynił się Związek sowiecki. Lecz wojnę przegrały tylko Niemcy. Związek Sowiecki znalazł się wśród zwycięzców i otrzymał nagrodę za zbrodnie Niemiec i za swoje własne. Polska formalnie też znalazła się w gronie zwycięzców. Lecz utraciliśmy więcej niż państwa pokonane. Jako naród utraciliśmy na pewno więcej niż Niemcy. Bo pomimo strat terytorialnych, 60 milionów Niemców żyje w suwerennym państwie, w całkowitej wolności, w ustroju demokratycznym i może swobodnie wyznaczać swoją przyszłość. Naród polski wszystkich tych możliwości został pozbawiony. Jedyną korzyścią są Ziemi Zachodnie i Północne. Na nich też skupił całą swoją energię, im oddał cały ładunek psychicznego przywiązania. Nie są one „kompensatą“ za utracone kresy wschodnie i tak o nich dziś społeczeństwo polskie nie myśli, choć właśnie jako o kompensacie kosztem Niemiec za zabór dokonany przez Rosję mówią o granicy na Odrze i Nysie ludzie w

Niemczech. Obiektywnie związek pomiędzy polską granicą zachodnią a dawną polską granicą wschodnią istnieje. Lecz związek przyczynowy nie oznacza *junction* na przyszłość, nie jest żadnym „albo to, albo tamto“. Nie tylko dlatego, że nie ma takiej możliwości, lecz i dlatego, że obecne i przyszłe pokolenie nie chce już żadnych kompensat ani rekompensat. I dlatego traktat z NRF ucieszył naród polski, że widzi w nim koniec przesuwania ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, bo widzi w nim ostateczną stabilizację swego obszaru zamieszkania.

Tego faktu nie zmienia choć go starannie chce zaciemnić reżym komunistyczny, przypisując sobie zasługę „normalizacji“ i posuwając się w swej radości do poniżających odwruchów „fraternizacji“ z tymiż Niemcami, których nie dalej niż rok temu nazywano „podżegaczami wojennymi“ i „sługusami imperializmu“. Jeśli Sowiety chcą wymazać z pamięci Hitlera, by ułatwić re-gloryfikację Stalina to nie powinni znaleźć pomocników ani wśród uczciwych Niemców ani wśród Polaków. Normalizacja między narodem polskim a niemieckim nie może mieć nic wspólnego z niegodnymi „Bruderschaftami“ w Pałacu Natolińskim.

Mówią Brandt i mówią inni Niemcy, a chcą temu wierzyć Polacy, że traktat jest zamknięciem złej przeszłości i początkiem nowej, lepszej ery stosunków. Interes Niemiec, interes Polski, interes całej Europy wymaga by tak było. By tak mogło być potrzeba mnóstwa dobrej woli. Potrzeba szerszego spojrzenia na historię czasów przeszłych, a nie tylko ugięcia się przed koniecznością dzisiejszą. Jeśli tak się stanie jak zapowiada Brandt i jak chcą Polacy to za sto lat czy dwieście będzie można mówić o traktacie polsko-niemieckim jako o wydarzeniu przełomowym. Za wcześniej by go już dziś tak nazywać. Poznamy jego wartość po jego dziele.

Paweł Zaremba

**Czy jesteś
członkiem SPK?**

HEINRICH HIMMLER

PO WYSIEDLENIU mnie z Warszawy przez Niemców w czasie powstania, zamieszkałam w Ostrowcu Świętokrzyskim i tam, na wiosnę roku 1945-go, organizowałem ze szczątków różnych ocalałych księgozbiorów miejską bibliotekę. Do biblioteki tej przyszedł kiedyś czytelnik, który — jak wielu innych młodych ludzi w owym czasie — odbył podróż po ziemiach odzyskanych. Przywiózł stamtąd makabryczną pamiątkę: kawałek skóry ludzkiej wielkości kobiecej dłoni. Skóra ta była wysuszona lecz nie garbowana. Miała żółtawy kolor i widać na niej było delikatne, jasne włoski.

Młody ów człowiek powiedział mi, że „pamiątkę“ otrzymał we Wrzeszczu, gdzie z rozkazu Himmlera SS założyło fabrykę galanterii z ludzkiej skóry. Uciekając w popłochu przed sowiecką ofensywą, kierownicy tej fabryki nie zdążyli jej zniszczyć. Nie było to zresztą łatwe: w fabryce znajdowały się olbrzymie szklane słoje z formaliną, a wewnątrz przechowywano trupy ludzkie bez głowy. Były to zwłoki Żydów i chrześcijan, ludzi tęgich, o dużej powierzchni skóry. Być może zresztą, że i tłuszcz wytapiany ze zwłok był używany do wyrobu mydła. Po „wyzwoleniu“ można było tę fabrykę oglądać i zabrać czy też kupić kawałki skóry.

Ludzkość prowadziła wojny chyba od początku swego istnienia, ale z praktycznego wykorzystywania zwłok poległych wrogów wyrosła już przed tysiącami lat. Wszystkie religie głoszące nieśmiertelność duszy nakazywały szacunek dla zmarłych. Z tradycją tą zerwał w XX wieku naród żyjący w centrum cywilizowanego świata, naród od blisko dwu tysięcy lat chrześcijański.

Niemieckie obozy koncentracyjne były wzorowane na łagrach, ale nawet Sowiety nie robiły galanterii z ludzkiej skóry. Czytałam wprawdzie podczas wojny wspomnienia gdańskiego komunisty, który uciekł w roku 1924 do Rosji i spędził szereg lat w więzieniach; po wydostaniu się z powrotem do Niemiec (wówczas już hitlerowskich) napisał książkę pt. „Der verratene Sozialismus“ („Zdradzony socjalizm“). Twierdził

w niej, że we wczesnych latach stalinowskich Sowiety zawarły ze Stanami Zjednoczonymi umowę na dostawę szkieletów do gabinetów przyrodniczych w szkołach. Dostarczany „towar“ pochodził z więzień, gdzie tracono ludzi w ten sposób, aby nie uszkodzić szkieletu.

Nie mam możliwości sprawdzenia tej wiadomości, gdyż nie pamiętam nazwiska autora i nie wiem czy wspomnienia te wyszły poza granice III Rzeszy. Autor nie żyje zresztą: w Rumunii, gdzie znalazł pracę, otrzymał paczkę z maszyną piekielną. Zginął przy jej otwieraniu. Było to jeszcze przed wybuchem II wojny światowej.

Jeżeli nawet wiadomość ta jest prawdziwa, przyznać trzeba, że do tak systematycznego zużytkowania skóry, tłuszczu, włosów ludzkich, złotych zębów i plomb nie dorosło stalinowskie NKWD. Do tego trzeba było niemieckiej systematyczności i praktycznego zmysłu Reichsführera SS.

Ludzkość jeszcze dotychczas nie może dojść do sedna przyczyn, które spowodowały ten „sabat czarownic“, jakim było istnienie III Rzeszy. W duszach większości ludzi, którzy przeżyli II wojnę światową i patrzyli na nagłe obalenie wszystkich wartości boskich i ludzkich, pozostał niezatarty ślad. I nie można się temu dziwić: szaleństwo narodu niemieckiego podkopało wiarę w dobre instynkty człowieka, w postęp kulturalny, którego procesu nie można odwrócić. Bo proces ten został odwrócony! Chaos ideologiczny, panujący obecnie w świecie, ma źródło nie tylko w rozbijackiej robocie komunistycznej i ogólnym poczuciu zagrożenia, ale również w podkopaniu wiary w człowieka, istotę rozumną i wartościową.

Do obszernej literatury poświęconej głównym „bohaterom“ III Rzeszy doszło jeszcze jedno opracowanie. Jest nim książka Bernarda Michala pt. „Himmler et les SS“, wydana w języku francuskim w Genewie. Autor maluje w niej historyczne tło, na którym zrodził się narodo-

wy socjalizm, jego walkę o władzę, rolę jaką odegrał Himmler przed wojną i po niej rozbudowując SS, pisze o jego obozach koncentracyjnych, ambicjach i końcowym, żalonym okresie jego kariery. Książka oparta jest na bogatej bibliografii i dobrej znajomości zagadnień, nawet tak dla Szwajcara odległych jak sfingowany napad na radiostację w Gliwicach lub problemy Powstania Warszawskiego. W całości — Michał daje monografię zarówno „Waffen SS“, jak i ich założyciela, którego nazywa „Maudita parmi les maudits“, (przeklęty między przeklętymi!).

GNIAZDO I MŁODOŚĆ HEINRICH A HIMMLERA „DOBRY CHŁOPIEC“

Nic w jego pochodzeniu i dzieciństwie nie zdawało się predysponować przyszłego Reichsführera SS do roli „zwornika sklepienia porządku hitlerowskiego“. Urodził się 7.X.1900 roku w rodzinie zgodnej i kochającej. Ojciec jego, Gerhard Himmler, był profesorem liceum w Monachium i musiał być cenionym i dobrym pedagogiem, gdyż na kilka lat przed urodzeniem Heinricha król bawarski powierzył mu edukację swego syna. Stosunki między nauczycielem i uczniem były tak dobre, że kiedy profesorowi urodził się syn, młody książę zgodził się trzymać go do chrztu.

Rodzina Himmlerów była systematyczna: zachowało się archiwum rodzinne, z którego autor czerpie mnóstwo szczegółów. Systematyczność tę odziedziczył syn. Uczył się dobrze w liceum, a w roku 1919 rozpoczął studia w wyższej szkole technicznej rolnictwa. Prowadził stale dziennik, z którego kart wyciera zupełnie normalnie rozwijający się, dobry chłopiec. W pewnym momencie pisze on: „Myślę, że musimy przygotować się do życia w ciężkich czasach“. Ten przeciętny i — zdawałoby się — normalny chłopiec był, jak pewnie wielu innych z jego pokolenia, których machina wojenna nie zdążyła wciągnąć w swe tryby, szczerze zatroskany o

I JEGO SS

B.D.I.C

los kraju. Jego życie było wówczas jeszcze białą kartą, a osobowość nie została uformowana. Nie dowiemy się nigdy, jakie dziedziczne geny wyznaczyły swym tajnym szyfrem jego przyszły rozwój. Wiemy tylko, że pochodził z Bawarii — kraju dobrodusznym piwowosów, z kraju głęboko katolickiego. I wolno nam przypuszczać, że białą kartę jego życia wypełnił i ukształtował charakter stosownie do swoich celów jego magiczny wódz — „der Führer“.

Aby zrozumieć przeobrażenia jakie zaszły w charakterach wychowanków narodowego socjalizmu, należy rozpatrzyć choć w dużym skrócie historię Niemiec od klęski aż do momentu kiedy Hitler na II Kongresie NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiter Partei) w dniu 27 stycznia 1923 rzucił słynny slogan: „Deutschland, erwache!“ („Niemcy, obudźcie się!“).

Autor pisze szeroko o tych wydarzeniach: o rewolucji, separatystycznych dążeniach Bawarii, krwawych zamieszkach, okupacji Zagłębia Ruhry przez aliantów, o bezrobociu, głodzie, zamęcie jaki szerzą „brunatne koszule“ Ernsta Roehma rozbijając zebrania innych partii.

Jest chaos, inflacja, naród niemiecki jest zmęczony do ostateczności. A Hitler głosi swój program: anulacja traktatu wersalskiego, zjednoczenie wszystkich Niemców na niemieckim obszarze narodowym, stworzenie wielkiej Rzeszy, nacjonalizacja karteli, rekwizycja dochodów nie osiągniętych pracą, udział państwa w dochodach wielkich przedsiębiorstw, kontrola handlu nieruchomościami, walka ze spekulacją terenami budowlanymi...

Program taki przemawia do narodu upokorzonego klęską, zmęczonego daremnymi ofiarami i rewolucją. A militarno-sportowe oddziały S. A. „brunatnych koszul“ Roehma, liczące w 1925 roku już 30.000, nęcą oczy tej młodzieży, która zdołała wziąć udział w wojnie i musiała przyjąć klęskę nie przez nią zwinioną. Tym bardziej nęcą, że zgodnie z traktatem wersalskim armia

Republikę Weimarskiej nie może przekraczać 100.000 ludzi.

Antysemityzm jest powszechny. — „Jak zwykle wobec klęsk narodowych, wielu Niemców szuka odpowiedzialności za niepowodzenia nie w sobie, a u innych“ — pisze autor. — „Dla nich“ „politycy“, „komuniści“, „spekulanci“ stali się od wewnątrz współnikami wroga zewnętrznego. I Żydzi także!“ Antysemityzm Hitlera i Roehma znajduje odzwierciedlenie w narodzie. Istnieje „Liga rasistowska“, obarczająca Żydów winą za upadek Niemiec. Wydaje ona pismo „Deutschvölkische Blätter“, prowadzące prostacką i brutalną kampanię. Kartę tytułową zdobi znak swastyki.

Co robi w tych burzliwych czasach Himmler?

Po uzyskaniu dyplomu specjalizował się w studiach nad chemicznymi nawozami i otrzymał posadę asystenta w laboratorium w Schleissheim koło Monachium. Nie wystarcza mu jednak ta praca. Ten młody, ambitny i próżny człowiek marzy o polityce. Wziął udział w słynnym „puczu“ w Monachium, który skończył się uwięzieniem Hitlera. Sam nie był aresztowany, ale stracił pracę. Związał się teraz ze współpracownikiem Hitlera, socjalizującym Georgem Strasserem. Jest to młody, ambitny polityk, który wraz z gen. Ludendorffem stworzył nowe ugrupowanie z dawnych nazistów, nacjonalistów i antysemitów. Grupa ta przedstawia swych kandydatów do lokalnych i ogólnokrajowych wyborów pod nazwą: „Stronnictwo Narodowo-socjalistyczne Wolności“. Zdobywają 33 miejsca w Zgromadzeniu Narodowym. Himmler awansuje później na Gauleitera Palatynatu i Dolnej Bawarii. Dozoruje go Hitler, który wyszedł już z więzienia. „Führer“ (ten tytuł dany mu przez Hessa przyjął się już powszechnie) tworzy grupy uderzeniowe wszędzie gdzie istnieją ugrupowania NSDAP. Himmler organizuje te grupy w sposób doskonały. Zaprzyjaźnił się już z Goebbelsem, który pisze o nim: „To dobry chłopiec i bardzo inteligentny“.

Zaproszony przez Goebbelsa do Berlina, poznaje tam Heinrich swą przyszłą żonę — Margę. Pobierają się w roku 1928. Marga sprzedaje klinikę, którą prowadziła, i kupuje posiadłość ziemską w pobliżu Monachium. Zakładają tam farmę kurzą. W 1929 roku rodzi im się córka, którą nazwą Gudrun.

Jest to szczęśliwy okres w życiu Himmlera, ale wkrótce zostanie powołany do wyższych zadań. 6-go stycznia 1929 r. Hitler położył ręce na jego ramionach i rzekł patrząc mu głęboko w oczy: „Mianuję pana Reichsführerem moich SS. Zrobi pan z nich elitarnie wojsko“.

REICHSFÜHRER SS

Do 6 stycznia 1929 r. trudno jest ustalić daty kariery Himmlera. Nie wiadomo nawet kiedy wódz i sumienny wykonawca jego antysemickiego programu spotkali się po raz pierwszy. Wiadomo jednak, że Himmler podziwiał i cenił Hitlera i że wzajemnie „Führer“ podziwiał i szanował Himmlera.

Od 6 stycznia 1929 r. losy Niemiec zależały od tych dwu ludzi, tak bardzo różnych charakterami, mających wszakże wspólną filozofię polityczną. Oni to ukształtowali to przerażające oblicze Niemiec, którego do dzisiaj świat nie może zapomnieć.

Już od r. 1924 sprowadza Himmler wszystko zło na świecie do winy żydowskiej. Przejął on również drugą ideę Hitlera — zagadnienie przetrwania życiowej dla niemieckiego chłopca. Obecnie otrzymał SS, czyli Schutzstaffeln der Nationalsozialistischen Arbeiter-Partei jako narzędzie działania.

Stworzona przez Hitlera w roku 1925 „SS“ była w założeniu elitarną sekcją S. A. (Sturm Abteilungen). Zadaniem jej była ochrona partii i strzeżenie osoby Führera. Liczyła wówczas kilkudziesięciu ludzi. W r. 1929 podniesiono jej liczbę do 280 ludzi. Po 4 latach Reichsführer rozporządził już armią liczącą 52.000 SS-manów.

Himmler ustalił obecnie następujące warunki wstępu do tej formacji: czysta rasa nordycka, wysoki wzrost (ponad 1,70 m.), poddanie się dyscyplinie wojskowej, wierność

doktrynie narodowo-socjalistycznej i „Führerowi“.

Czystość rasy głosił Hitler wielokrotnie w „Mein Kampf“, w swych deklaracjach i przemówieniach. Hasło to stanie się naczelną ideą Himmlera. Powstanie więc „zakon“ SS i szkoła wychowująca nadludzi rasy nordyckiej. Na sztylcie, który otrzymują absolwenci po złożeniu przysięgi wyryte są słowa: „Honorem moim jest wierność“.

SS nie bierze udziału w brutalnej akcji politycznej — tę brudną robotę wykonują „brunatne oddziały“ Roehma, których liczba wzrosła w roku 1931 do 1,700.000. Interweniują one w wyborach, numerują sympatycznym atramentem głosy i likwidują tych, którzy głosowali na inne partie niż NSDAP, brutalizują i mordują przeciwników politycznych. Przez ilość swą i brak taktu ich szefa oddziały te niepokoją Hitlera. Z polecenia jego tworzy Himmler w roku 1931 Sicherheitsdienst (S.D.) — wywiad SS, na którego czele stanie Reinhart Heydrich, były oficer marynarki. Kartoteki jego obejmą wszystkich członków partii, jak również wszystkie wybitne osobistości polityczne w kraju i za granicą. S.D. stanie się z czasem mózgiem III Rzeszy.

Hitler walczył o władzę przy pomocy terroru S.A., propagandy Goebbelsa, robiąc obietnice wielkiemu przemysłowemu i wojsku, a nawet wabiąc Kronprinza napomknieniami o restauracji dynastii Hohenzollernów. Wszedł również w konszachty z kanclerzem von Papenem przyrzekając mu poparcie w Reichstagu. Dzięki tym wszystkim środkom osiągnął dla NSDAP 250 miejsc. Są teraz największą grupą. Wymogli nawet wybór Goeringa na prezydenta Reichstagu. Ale teraz zmienili front. Zamiast poprzeć von Papena, sprzymierzyli się z socjalistami i komunistami przeciw kanclerzowi, który wniósł projekt reformy ekonomicznej. Mało tego! Goering ośmieszył Papena i podał pod głosowanie votum nieufności wniesione przez posła komunistycznego. Papen ustąpił. Następcą jego, gen. Schleicher, związał się ze Strasserem aby zmniejszyć wpływy NSDAP. Ale Sicherheitsdienst, oko i ucho Himmlera

spenetrowało intrygę. Strasser wystąpił z partii, Schleicher pozostał bez silnego oparcia w Reichstagu i również ustąpił.

30 stycznia 1933 r. Hindenburg mianował Hitlera kanclerzem. Ale naziści stracili wskutek awantur 34 miejsca w Reichstagu. Mają teraz zaledwie 1/3 część portfeli ministerialnych w swych rękach. Hitler jest jednak pomysłowy: mianuje ministrem policji w Berlinie Goeringa i namawia Hindenburga do rozwiązania Reichstagu. Naznaczono wybory i rozpoczęła się brutalna kampania przedwyborcza. 51 przeciwników NSDAP zostało zamordowanych. W Berlinie policja, łącznie z oddziałami SA, występującymi jako policja pomocnicza (25.000 ludzi), i 15.000 członków „Stahlhelmu“ usiłują zastraszyć socjalistów i komunistów. Gdy to nie pomaga, wybucha pożar Reichstagu, podpalonego rzekomo przez komunistów. Niewygodni członkowie innych partii — komuniści, socjaliści, syndykaliści — są aresztowani i „prewencyjnie“ deportowani. W ten sposób NSDAP pozbywa się 7.000 przeciwników politycznych.

Kampania wyborcza odbywa się wśród presji policji, pochodów ze sztandarami NSDAP i muzyką wojskową, organizowanych przez Goebbelsa. Rozpoczyna się wielki kiermasz narodowego socjalizmu pod hasłem: „Deutschland, erwache!“

5 marca 1933 r. 17,164.000 wyborców wrzuca do urny kartkę „nazi“. Ale, ponieważ partia nazistowska nie ma absolutnej większości w Reichstagu, brak jej 53 miejsc, Goering, Himmler i Roehm zwracają się do posłów komunistycznych „z prośbą“, aby nie pojawiali się w Reichstagu. Prócz tego SS i SA strzegą wejść do gmachu, w którym obraduje Reichstag, krążą wewnątrz budynku, w korytarzach i za kulisami w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo obrady przeniesiono po spaleniu gmachu do Opery Kroll w Tiergartenie. W ten sposób zabraknie 80 posłów komunistycznych i 118 socjalistycznych w dniu, kiedy Hitler zażąda 23 marca pełni władzy na przeciąg 4 lat. 441 posłów nacjonalistycznych i centrum katolickiego uchwalą te pełnomocnictwa.

Hitler był panem Niemiec.

Bezpośrednio po zwycięstwo proponuje Himmler wysłanie opornych polityków na reedukację do obozów. 25 marca 1933 r. otwiera on pierwszy obóz koncentracyjny koło Stuttgartu. W miesiąc później stworzy Goering tajną policję — Geheime Staatspolizei (Gestapo), które — podobnie jak SD — rozciąga sieć na całe Niemcy.

Trzech ludzi rozporządza teraz narzędziami terroru: Roehm, który ma w samym Berlinie 600.000 „brunatnych koszul“, a w całych Niemczech — 4,500.000, Himmler dowodzący SS (52.000 ludzi) i SD, oraz Goering ze swym Gestapo.

Obozy koncentracyjne tworzą na swoją rękę — „brunatne koszule“ Roehma, grabiąc, torturując i porywając ludzi, i Himmler (Stuttgart, później Dachau). Ale Himmler i Goering działają wspólnie i „legalnie“, Roehm — nielegalnie.

20 kwietnia Goering oddaje Gestapo w ręce Himmlera i poświęca się lotnictwu. Reichsführer lokuje się zatem w Berlinie. Jest obecnie szefem SS, SD i Gestapo. Tworzą one jednolitą formację „Allgemeine SS“. Liczą 240.000 ludzi. Od początku 1934 r. jest Himmler odpowiedzialny również za obozy koncentracyjne. Dla obsługi tych obozów tworzy specjalną formację: „SS Totenköpfe“ („Trupie główki“).

W ten sposób, począwszy od 20 kwietnia 1934 r. może Himmler roztoczyć obserwację nad podejrzanymi przy pomocy SD, może ich aresztować rękami Gestapo i może więzić w kacetach pod strażą „SS-Totenköpfe“.

Roehm ma tę samą władzę, ale nie jest posłuszny Hitlerowi. Jest zatem najwyższy czas, aby usunąć buntownika, który przestał być potrzebny i nie słucha ostrzeżeń.

Szczegółowy opis tzw. „puczu Roehma“ jest znany polskim czytelnikom. Likwidacja przeciwników politycznych trwała od 30 czerwca do 2 lipca 1934 r. Zastrzelono wówczas Roehma i jego najbliższych współpracowników. Na specjalne żądanie Goeringa zamordowano także Georga Strassera, gen. Schleichera i jego żonę, która zasłoniła męża swym ciałem. Przy okazji tej likwidacji ludzi

KALEJDOSKOP WŁOSKI

WŁOCHY UZNAJĄ CHINY MAO

W PIERWSZYCH dniach listopada rząd włoski uznał Chińską Republikę Ludową. Nie byłoby w tym nic dziwnego — gdyż przed Włochami reżym pekiński uznało już wiele państw obozu zachodniego, w tym Anglia i Francja — gdyby nie pewne pikantne okoliczności, które z tej okazji wyszły na jaw. I tak np. „Corriere della Sera“ ujawnił, że gdy w czasie poufnych rozmów targowano się o stosunek Włoch do Chin Narodowych, ambasador włoski Gardini wyraźnie ostrzegł delegację pekińską przed zaatakowaniem Formozy. Zastrzegając się, że nie jest rzeczą rządu włoskiego wypowiadanie się co do obszaru i granic obcych państw, dyplomata włoski oświadczył swemu chińskiemu rozmówcy; że jeśli Chiny napadną na Formozę — to będą

przez Włochy potępione, gdyż Italia sprzeciwia się stosowaniu przemocy. W następstwie uznania Pekinu przez Republikę włoską Chiny Narodowe odwołały swą ambasadę z Rzymu. Pozostała jednak we Włoszech dość liczna kolonia Chińczyków, mająca paszporty Taiwanu i nie zdradzająca chęci przerobienia się na komunistów. Ich sprawami zająć się ma podobno konsul szwajcarski.

Jeszcze ciekawsze niedyskrecje ogłosiła „Stampa“. Paryski korespondent tego pisma doniósł m.in., że w miarę przedłużania się negocjacji Chińczycy coraz rzadziej mówili o Mao-Tse-tungu, jako o czynniku decydującym. Nie taili też, że mają coraz więcej zastrzeżeń wobec Stalina. Jeden z delegatów wygarnął kawę na ławę mówiąc, że Stalin był tylko w 70%-ach komunistą, a w 30%-ach zbrodniarzem. Wojnę w

Wietnamie nazywali cierniem w boku Chin i twierdzili, że Rosjanie podlegają do wojny, gdyż chcą zatrzymać Amerykanów w Azji. Chińczycy według „Stampy“ oświadczyli ponadto, że pogardzają zachodnimi maoistami, a włoską partię komunistyczną określili jako najbardziej oszukańczą i perfidną.

I jak tu liczyć na ludzką wdzięczność! Ileż to razy władze włoskiej partii komunistycznej narażały się w Moskwie, stając po stronie Pekinu! I wszystko na nic. Towarzysze Kitajcy nie tylko nie podziękowali, ale jeszcze dali kopniaka.

OSTPOLITIK WIDZIANA Z RZYMU

Con scarso entusiasmo to znaczy z miernym entuzjazmem przyjęto we Włoszech do wiadomości

HIMMLER I JEGO SS

niebezpiecznych — zastrzelono również niewygodnych świadków, trzech członków SS, którzy podpalili Reichstag*).

W nagrodę za zasługi położone podczas „nocy długich noży“ została SS mianowana instytucją autonomiczną, a w dwa lata później, w czerwcu 1936 r., otrzymał Himmler godność szefa policji całej Rzeszy. Stał się więc najpotężniejszą postacią po Hitlerze.

Nie zmienił się wcale. Jego sposób życia pozostał bezpretensjonalny. Utrzymywał stosunki z przyjaciółmi młodości. Nie był szczęśliwy w małżeństwie, ale się nie rozwiódł ze względu na córkę. Związał się z inną kobietą, która urodziła mu syna i córkę i — choć się to wydaje dziwne u dygnitarza III Rzeszy — miał trud-

ności z utrzymaniem dwóch domów. Pod względem uczciwości finansowej był w tym towarzystwie wyjątkiem.

Nie miał błyskotliwości Goeringa ani jego kultury i swobody towarzyskiej, nie był cyniczny jak „piękny Herman“. Był urodzonym organizatorem i gadatliwym moralistą. Podobnie jak Goebbels — był bezgranicznie oddany Hitlerowi. Wierzył w magię. W trosce o swe zdrowie zaufał zupełnie swemu fińskiemu masażyście Kerstenowi, który przynosił mu ulgę w bólach reumatycznych i kurczach żołądka. Dzięki temu wpływowi udało się Kerstenowi uratować tysiące żydów.

Himmler stworzył z SS „zakon“, pragnął by był on „rycerski“ i wierzył, że zakon ten przetrwa 2.000 lat. Jego przekonania nazistowskie były głębokie i szczerze, w przeciwieństwie do Heydricha, który uważał antysemityzm za środek do celu. Dobrze im się jednak wspólnie pracowało. Roztoczyli sieć szpiegowską na cały kraj: na ministerstwa, stowarzyszenia, organizacje młodzie-

żowe i sportowe, na czasopisma, pisarzy, uniwersytety, na świat lekarski. Nawet cudzoziemcy byli pod kontrolą. Z rozkazu tej pary założono podsłuch telefoniczny, mikrofony w biurach ministrów. Nawet służba domowa była na usługach Gestapo.

W S.D. powstała w r. 1935 sekcja żydowska prowadzona przez Eichmanna. Były sekcje: komunistyczna, wolnomularzy, sabotażystów produkcji itp.

25.VI. 1936 r. stworzył Himmler dwie wielkie grupy służb: „Orpo“ (Ordnungspolizei) i „Sipo“ (Sicherheitspolizei). Pierwszą prowadził gen. Daluge, drugą Heydrich. (Gen. Daluge wziął później udział w zamachu lipcowym).

Mając taką władzę w rękach i bezgraniczne zaufanie Hitlera, był Himmler panem życia i śmierci niemal każdego człowieka w Rzeszy. Teraz zaczęły mu się marzyć laury wojenne dla ukochanego SS oraz nimb sławy wielkiego wodza dla siebie.

Ciąg dalszy nastąpi

*) Von Papen ocalał wówczas tylko dzięki temu, że w białym nocnej uciekł ogrodami do willi marsz. Hindenburga i że stary wódz, mimo nalegań Hitlera, nie zgodził się wydać go siepaczm SS. Później, jak wiadomo, stosunki między Führerem i b. kanclerzem poprawiły się i otrzymał nawet odpowiedzialne funkcje dyplomatyczne.

ci umowy zawarte przez rząd w Bonn z Moskwą i Warszawą.

Złożyły się na to dwa powody. Źródłem pierwszego była rażąca dysproporcja między pewnym odprężeniem stosunków w Europie, a silnym napięciem we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego, co ze względów geograficznych ma dla Italii wielkie znaczenie. Wypada przypomnieć, że podczas gdy komuniści włoscy wszelkich maści gwałtownie protestowali z powodu interwencji amerykańskiej w odległej o tysiące mil Kambodży, minister spraw zagranicznych nie omieszczał im wytknąć podejrzanego milczenia na temat masowej obecności sowieckich wojskowych w Egipcie, położonym w bezpośredniej bliskości Półwyspu Apenińskiego. Na to napięcie użalali się też Włosi w rozmowach przeprowadzanych w czasie ostatniej rzymskiej wizyty ministra spraw zagranicznych ZSRR Gromyki. Powiedzieli mu bez osłonek, że projektowana przez Moskwę konferencja w sprawie bezpieczeństwa europejskiego musi doprowadzić do poprawy stosunków nie tylko na kontynencie Europejskim, ale także na Morzu Śródziemnym. Oczywiście Gromyko wszystko obiecał, a w Mediolanie, jak przystało na dobrego Europejczyka, zachwycał się Ostatnią Wieczerzą Leonarda da Vinci!

Drugi powód zaniepokojenia Włochów bońską Ostpolitik miał swe źródło w niezapomnianej umowie z roku 1922-go w Rapallo i w układzie Ribbentrop-Mołotow z roku 1939. Dużo zrozumienia i obiektywności okazano dla traktatu NRF—PRL. Ogłoszono mapy, wykazujące, że przyłączenie do Polski ziem odzyskanych było kompensatą za ziemie wschodnie, zrabowane przez Rosję.

THE POLISH TRUSTEE ASSOCIATION LTD

(Polskie Stowarzyszenie Powiernicze)

sporządza testamenty,
likwiduje spadki,
uzyskuje i przekazuje renty
do Polski.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Tel.: 584 0747

Natomiast ostrożniej, a nawet z nieufnością potraktowano umowę Bonn z Kremlem. To właśnie było powodem przyjazdu do Rzymu kanclerza Brandta, który podejrzliwym, ale inteligentnym Włochom tłumaczył elementy swej pokojowej polityki wschodniej. Napisano w prasie, że jemu, Brandtowi Włosi wierzą, ale nie wierzą temu, kto po nim będzie rządzić.

DIVORZIO ITALIANO

Rozwody we Włoszech będą obecnie w następujących siedmiu wypadkach: 1) gdy jeden ze współmałżonków odsiaduje dożywotnie więzienie lub gdy został skazany został na więcej niż 15 lat pozbawienia wolności, 2) gdy dopuścił się zbrodni seksualnych we własnej rodzinie, albo pchnął żonę lub dzieci do prostytucji, 3) gdy usiłował zabić drugiego współmałżonka, lub spłodzone z nim dzieci, 4) gdy jeden ze współmałżonków został uwolniony za te zbrodnie z powodu choroby umysłowej, 5) gdy jeden ze współmałżonków, będący cudzoziemcem, otrzymał rozwód w kraju swej pochodzenia, 6) gdy małżeństwo nie zostało skonsumowane — i wreszcie 7) gdy doszło do legalnej separacji, trwającej — zależnie od okoliczności — od pięciu do siedmiu lat.

Postanowienia te są zawarte w ustawie o tzw. „mini-rozwodzie“, uchwalonej w nocy z 30-go listopada na pierwszy grudnia i zaraz podpisanej przez prezydenta Republiki. Sprawa ciągnęła się od dawna, ale weszła na forum ciał ustawodawczych dopiero w roku 1965-ym, gdy odnośny projekt zgłosiło dwóch posłów: prawicowy liberał Baslini i lewicowy socjalista Fortuna. Częste kryzysy gabinetowe, poufne antyrozdowe rozmowy posłów chrześcijańsko-demokratycznych z komunistami, protesty Watykanu i inne przeszkody proceduralne sprawiły, że mini-rozwód długo czekał na światło dzienne. Jego przeciwnicy nie skapitulowali i grono działaczy chrześcijańsko-demokratycznych zapowiedziało uruchomienie procedury, wiodącej do referendum. Tymczasem adwokaci zostali zasypani wnioskami i podaniami o wdrożenie

postępowania rozwodowego. Z pobieżnych obliczeń wynika, że o mini-rozwód będzie zabiegać trzy miliony osób. Przypomnijmy, że konkordat, oparty na katolickiej zasadzie nierozzerwalności małżeństwa, był zawarty w roku 1929 przez Mussoliniego i Papieża Piusa XI-go. Zwolennicy rozwodu, nawet ograniczonego, twierdzili że unieważnienie małżeństwa przez watykańską Rotę trwa zbyt długo i że jest dostępne tylko dla bardzo ustosunkowanych osobistości. Ostatnie referendum we Włoszech odbyło się w roku 1946-ym. Większość obywateli wypowiedziała się wówczas przeciw monarchii, a za republiką.

MICHELE CASCELLA WRÓCIŁ DO WŁOCH

Do rodzimej Ortony w Abruzji nad Adriatykiem powrócił sławny syn tego miasta, jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy włoskich, Michele Cascella. Nigdy nie zabłysnął żadnym dziwactwem, nie podpisywał się obrazami o treści niezrozumiałej dla normalnego widza. Umiłował kwiaty, drzewa, przyrodę i pejzaż. Gdy jako malec wchodził do litograficznych zakładów ojca, chwycił zaraz za pędzel, przemalowywał świętych na inny kolor i oglądał jak są narysowane ich twarze. Bystry tata, widząc te praktyki, mówił: „Dość tego pacykowania. Narysuj mi dwanaście nosów“. Michał rysował, a ojciec poprawiał. Pracownia musiała cieszyć się dobrą opinią, gdyż inny Abruzjczyk Gabriel d'Annunzio napisał na jej drzwiach: „Wejdz i podziwiał“. Cascella spędził życie w Mediolanie, Paryżu, w Nowym Jorku, Kalifornii i w Portofino w zatoce genueńskiej. Z okazji powrotu do Ortony malarz przyjął dziennikarza. Jeden z nich zapytał, jak mu się powodziło w Ameryce. — Nieźle — odparł maestro. Najlepiej szły obrazy przedstawiające kwiaty. Kupowano je do mieszkań. Musiałem tylko pamiętać, by rok namalowania obrazu odpowiadał rokowi wystawy. Płótna z datą wcześniejszą nie znajdowały nabywców. Sądzone, że to jakiś stary kicz, na który od dawna nie mogę znaleźć amatora. Ale gdy skorygowałem datę — sprzedaż szła jak po maśle.

Więcej wieczorów autorskich

PRZYJDŹ jednak na jego wieczór — powiedział mi nasz wspólny przyjaciel — ostatecznie, zobaczenie się może po raz ostatni w życiu.

Ledwie skończył, wiedziałem, że mnie przekonał, że wbrew oporom będę na wieczorze autorskim Antoniego Słonimskiego. Opory moje wynikały z wielu różnych ważnych przyczyn. Ale co innego mieć słuszość, co innego nie ulegać wzruszeniom. Nie posiadałem, niestety, sztuki takiego hartu ducha. Ostatecznie, zobaczmy się może ostatni raz w życiu...

Czterdzieści pięć lat temu — to taki kawał czasu, że się wierzyć nie chce — wszedłem do ogródka Małej Ziemiańskiej, było południe słonecznego dnia, kasztany i platany w ogródku chwiały się zielonym cieniem nad stolikami, z jednego stolika skinął do mnie przyjaźnie wielki Słonimski, zachęcił mnie, bym się doń przysiadł, spytał: „Napije się pan kawy?“, postawił mi pół czarnej. Poprzedniego dnia przyjechałem do Warszawy, na stałe, do Qui Pro Quo, znaleźmy się już ze Lwowa, z jego przelotnej wizyty.

Potem żyłem w Warszawie czternaście lat, połowę czasu, który spędziłem w Londynie. Czternaście lat tylko, a tyle się w nich działo, tak się żyłem z Warszawą, tyle w niej zaznałem szczęścia i radości, cierpień i przygnębień, przygód, sukcesów i klęsk. Przez te lata, najbliżej byłem właściwie z nim, ze Słonimskim. W pewnych fazach mego życia byliśmy niemal nierozłączni. Grywaliśmy w brydża i w tenisa, włóczyliśmy się po Adriach, jeździliśmy na nartach, kiedy wspólnie z Jaraczem i z Modzelewską założyłem teatr „Nowa Komedial“ i wystawiłem w nim „Rodzinę“ Antoniego, ogromny jego sukces był moją zarazem dumą i radością.

Pierwszego dnia, gdy przyjechałem do Londynu z Kairu, odszukał się z Antonim. W pierwszej rozmowie powiedział mi przyciszonym głosem i z ponurą miną, że Ciolkosz faszyzuje. Ja wtedy ledwie pamiętałem, kto to był Ciolkosz, nie

rozumiałem dlaczego Antoni taki tym przejęty? Dowiedziałem się, że Grydzewski faszysta i antysemita, że Nowakowski faszysta i szowinista, że Mackiewicz faszysta imperialista, że Grydzewski w wierszu Balińskiego rozmyślnie wydrukował rozstrzelonymi literami słowa o ziemi nowogródzkiej „gdyby ją nam zabrano podstępem lub siłą“, żeby Stalina sprowokować, że Stalin przez to obraził się na generała, dowiedziałem się, że cała nadzieja w Koście, Wellsie i Mikołajczyku.

Coraz trudniej było odszukać Słonimskiego kpiarza, ironistę, najdowcipniejszego człowieka naszych czasów, przyjaciela bliskiego. Był jakby zaczadzony urazami, nienawiścią, pretensjami, kotowską pasją do odgrywania się na „faszyzmie“, na „antysemitach“ wśród których kiedyś wodził złośliwy prym, na „sanaacji“ której do wczoraj był kapryśnym benjaminkiem. W zamknięciu „Wiadomości Literackich“, on niestety magna pars fuit, z jego poduszczeń prof. Kot zapewnił angielskie MOI, że nie będzie polskich objękcji przeciw zabronieniu wicherzyckiego pisma. Trzeba było słuchać, ile wtedy było w nim „trzeźwości“ politycznej, kiedy „radził pominać milczeniem sprawę Katynia. Trzeba było słyszeć, jak „zwalczał“ Sosnkowskiego za ... obóz w Jabłonnej, ni mniej ni więcej, Andersa za wizytę w „Arconii“ ... Kiedy wreszcie przyszło do ostatecznego opowiedzenia się, kto z kim, kto po jakiej stronie, nasze strony rozminęły się. Gdy wrócił do Polski, pod władą Bieruta, był przynajmniej konsekwentny. Wiedział po co jechał. Zaskarbił sobie wiele łask reżymowych i względów, przydał im się swoim powrotem i piórem. Napisał pewien wiersz, do Lechonia i Witlina, którego lepiej mu nie wypominać, bo nie wypominanie grzechów wzajemnych jest celem tego co piszę. Ja odpowiedziałem mu wierszem zbyt może ostrym i brutalnym, żaluję tego dzisiaj. Wiem, że go mój wiersz zabolął, mnie boli po dziś dzień, trudno, od tego piszemy, żeby nas bolało. Zerwaliśmy z sobą osta-

tecznie, nie znaleźmy się już, przyjechał raz i drugi do Londynu, najczłołobitniej witał go tu najzłośliwiej przezeń postponowany Terlecki, ja już go nie chciałem widzieć, ani on mnie.

Potem, zaczęła się jakby á rebours powtarzać w kraju historia londyńska. Tu przyszedł do opozycji rozżalony na Grydzewskiego i „Wiadomości“, że miejsce pierwszego publicysty zajął w nich Nowakowski, nie on. W kraju stał się opozycjonistą, obrońcą swobód i wolności, praw człowieka i obywatela — przeciw komu? Może przeciw Iwaszkiewiczowi który mu odebrał rząd dusz i przedstawicielstwo pacyfizmu. W każdym razie, ten sam Słonimski jest dzisiaj — zdaje się prymasem wolnej literatury w kraju, on, od dobrych parunastu lat, jest niemal symbolem walki z totalizmem, z cenzurą, z reżymowymi naciskami, jest — wobec zagranicy zwłaszcza — wodzem broniących się reżymowi sił i piór.

Nie ma rzeczy prostych ani łatwych. Podobno więcej jest radości w niebie z jednego nawróconego grzesznika, niż z siedmiu zastarzałych sprawiedliwych i wiernych. My tutaj dokładamy sił i starań, aby ludzi w kraju przekonać, że oni żyją w niewoli a my w wolnym świecie, że walczymy o poprawę ich losu, że cieszymy się prawami tolerancji i wszystkich swobód. Ja sam, przez osiemnaście bitych lat, każdego tygodnia mówiłem do kraju, przez radio, wiersze na ten temat i w tym przedmiocie — jeśli po zabiegach osiemnastu lat udało mi się kogo przekabacić na naszą stronę, jeżeli dajmy na to — niech mi wolno będzie, z całą skromnością, założyć taką hipotezę — jeżeli np. dzięki mnie i mojej wymowie Słonimski przejrzał i nawrócił się i robi teraz w kraju dobrą robotę — jakże ja mogę go potępiać? Jak wybrnąć z dylematu: Czy przypominać takiemu Słonimskiemu grzechy przeszłości, czy uznawać w nim i szanować chwalebne cnoty terażniejsze?

Kto rozstrzygnie, kto przypisuje sobie prawo do rozstrzygania takich dylematów? A co zrobić, gdy do dy-

lematu dołącza się tak niewygodny i krępujący argument, jak wzruszenie?

Jechałem w noc dżdżystą i mglistą przez 30 mil do Londynu, na wieczór autorski, który Antoniemu urządziło anonimowe „grono przyjaciół”. Trochę naiwna to była forma, wyglądało, że nie wiadomo kto, o co, kogo się boi? Grono przyjaciół zapowiedziało zrazu ten wieczór w Instytucie gen. Sikorskiego, ale podobno oburzyli się jacyś demokraci, zaprotesowali, żeby tam Słonimskiego nie wpuszczać, toteż przeniesiono wieczór do wynajętej sali hotelu „Rembrandt”, też wielka szkoda, że nie w „Rubensie”.

Zdaje mi się, że owi protestujący popełnili mizerne głupstwo. Nie w odniesieniu do Słonimskiego, ale wobec siebie samych. Przecież my tu żyjemy w świecie, który nie rządzi się takimi protestami, zakazami, bojkotami, cenzurą w jakiegokolwiek formie, braniem „świętości” w czyjkolwiek arendę, masową obronę obywatela przed „złem”, bez pytania, czy obywatel życzy sobie takiej obrony, czy nie? Jedyna forma protestu, czy cenzury, dopuszczalna w naszym emigracyjnym ustroju, to nie pójść samemu, odwrócić się plecami, nie przeczytać, nie wziąć udziału. Gdybym ja przyjechał do Kraju z wieczorem autorskim, reżymieszki zabroniliby mi sali w Instytucie Kultury i Sztuki, nie? Oni właśnie tak robią, dlatego my na uchodźstwie i u nas inaczej. Diabła tam inaczej. Nasze pokolenie jeszcze nie się nie nauczyło, jeszcze nie cywilizowane, dać komu z powrotem władzę, trochę więcej władzy, znowu jeden drugiego będzie brał za mordę. Całe szczęście, że ja mogę trochę zła naprawić, pisząc te słowa. Był to dla mnie jeszcze jeden argument, żeby pójść na ten wieczór.

Wszedł na estradę chudy, oszklony okularami, z twarzą kościstą, duch przywołany z tamtego świata, duch Antoniego.

Nie zdążył usiąść, gdy w pierwszym rzędzie sali nabitej do ostatniego fotela, porwał się na nogi wspólny nasz przyjaciel, bijąc brawo Nawróconemu. Za Juliuszem zaraz wstał inni; od razu faszyzujący Ciołkosz i stary generał Kukiel i cała sa-

nacja i wszyscy dawni z Warszawy i ci, którzy wstali, bo inni wstali, więc żeby nie robić demonstracji. Ja niestety słaby, nie było mi do wstawiania, uczciłem go minutą siedzenia, jak mi to wypomniała Kossowska, ona obok mnie, też nie wstała, poświęciła się, żeby mnie nie kompromitować. Na estradzie przywitał go Stanisław Baliński, przyjaciel młodości, wzruszony do szczyrych łez.

W Antonim została dawna żywość, głos mu zmatowiał, dźwięczny baryton przygasł, ale był zawsze i został jednym z tych poetów, którzy swoje wiersze mówią na swój własny sposób, nieomylnie, przejmująco, inteligentnie. Mówił różne wiersze, starsze i nowsze, nie mówił tych, które mogły urazić uszy emigrantów. Ma w swoim dorobku nie jeden wiersz „przeciw” naszej emigracji, nawet bardzo przeciw, szkoda, że żadnego z nich nie powiedział, byłby się przekonał, jakie mamy poczucie humoru.

Słonimski nie jest wielkim politykiem, ani filozofem, ani brydżystą, ani uczyonym. Jest z całą pewnością wielkim poetą. Wierze jego mają w sobie śpiewność pięknej polszczyzny, melodyjność rytmu, wykwićność rymu, czystość formy, na których uczyć by się nam wszystkim. Szczytem wieczoru był jego przekład monologu Hamleta, raczej parafraza z komentarzami, jakby wariantami i górnymi harmoniami szekspirowskiego tekstu. Kiedyś próbowałem swych sił na tym monologu, toteż wiem, słowo po słowie, linia po linii, jak zdumiewająco dokonał przekładu Słonimski. (Hamleta przełożył tuż przed wojną Iwaszkiewicz...).

Myślałem w miarę wieczoru, że być może nie zasłużył sobie na miejsce na estradzie w Instytucie Polskim — na wiele innych miejsc nie zasłuży — z pewnością zasłużył sobie na miejsce w literaturze, na Parnasie poezji polskiej, gdzie wśród awangardowych rupieci, miłoszowej bufonady, przybosiowego gruzu, wydzwiga się czystą kolumną natchnienia.

W „Myśli Polskiej” z dnia 1.XIII br., w rubryce „Twardym piórem”, znalazłem miętki artykuł p. Lan-

ceta, bardzo przeciwny temu wieczorowi. P. Lancet, (przynajmniej jeden, który nie boi się podpisywać nazwiskiem) wymienia prawie wszystkich, którzy byli na wieczorze i „wstali”, tj. wszystkich, których oni w redakcji nie lubią. Czytałem tę „ryżową szcztokę” p. Lanceta z rozrzewnieniem. Przypominała mi się dawna, poczciwa, oenerowska Warszawa. P. Lancet zapomniiał wymieścić, że wśród obecnych był też pan Peterkiewicz. No, ale to dawny, od dziecka, wielbiciel Słonimskiego.

* * *

Wieczory autorskie są najmilszą chyba formą styczności autora z czytelnikami. Niektórzy z nich, ciekawi są, jak wygląda ich ulubiony autor, wypatrują tej magii, która emanuje z jego utworów, przez bezpośrednią styczność chcą odgadnąć coś niecoś z tajemnicy twórczości, talentu, sztuki. Ucieszyła mnie zapowiedź wieczoru autorskiego Jana Frylinga, przyjaciela od niepamiętnych czasów. Jestem jednym z czytelników, którzy nie pominą nigdy utworu podpisanego nazwiskiem Jan Fryling, wiem, że będzie ciekawy, zajmujący, dobrze napisany. W „Ognisku Polskim” Fryling podjął się wygłoszenia odczytu o Stanisławie Wyspiańskim, w którego twórczości prześledził zwiastowanie walki o niepodległość Polski, zbrojny czyn Józefa Piłsudskiego.

Odczyt Frylinga był wzorem pięknego języka, którym umiał mówić z szlachetną prostotą. Temat, najeżony trudnościami i pułapkami patosu, układał mu się w zdania jasne, pełne wdzięku i powabu dawnej, przedwojennej polszczyzny, z jej czasów przed-drętwicowych. Odczyt był wzorem zwięzłości, prelegent zachwyił mnie znanstwem przedmiotu, powiedział o Wyspiańskim dużo nowych i ciekawych rzeczy, umiał doszukać się w nim podniecających przykładów. Zakończenie odczytu, parę zdań o przekroczeniu granicy zaboru rosyjskiego przez szpic pierwszej polskiej patroli — wzruszało delikatnością i melodyjnością słowa.

Żałuję, że nie podzielał zachwytów innych paru recenzji dotyczących wykonania tekstów Wyspiańskiego przez dobrany ad hoc zespół recytatorski. Wykonanie nie tyl-

ko nie wydało mi się „cudowne“, jak ktoś napisał, ale wydało mi się żalosne. Winę po sprawiedliwości, trzeba rozdzielić pomiędzy grono recytatorów i autora — Wyspiańskiego.

Jest to sprawa, która od dziesiątków lat dręczy swą zagadkowością. Wyspiański jest jednym z twórców, którzy w swej poezji wzbili się na najwyższe w naszym języku, rozżarzone do białości, poetyckie uniesienia. Sublimowana poezja, czystość i prostota takich strof, jak:

„Ach, którzy jestem żyw,
czy ten co leci wzwyz,
czy ten co zmarł szczęśliwy,
ściskając w dłoni krzyż — ,

jak wiersz „Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić“, albo „Pociecho moja ty, książeczko, pociecho smutna“ pozostaje w pamięci na całe życie, cytować je, przypominać sobie, można tylko szeptem. Wiersz z „Kazimierza Wielkiego“, „Idą posepni, a grają im dzwony ze wszystkich kościołów“ — jest jakby transpozycją na mowę ludzką beethovenowskiego Allegretta z VII symfonii, tego niezmiernego pochodu, zarazem marsza żałobnego i cortege'u widm. Nie sposób się oprzeć pięknu tych wierszy. W „Weselu“ znajdują się raz po raz rozblęski najczystszej poezji polskiej — samo „Wesele“ jest niechybnie największym teatralnym dziełem polskim, stawiam je wyżej niż „Dziady“.

Oddawszy wszystkim hołd Wyspiańskiemu poecie, staram się na próżno odgadnąć, jakim cudem jest on zarazem autorem najgorszych w naszym języku dziwolągów, łamańców rytmicznych, istnych karykatur językowych, których dziś niepodobna ścierpieć? „Veni Creator“ w jego wersji kończy się zwrotką:

„Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
Zwól, by był przez Cię poznany Syn,
Zwól, w Tobie światło światu dać,
Zwól, z Wiarą wieków podjąć Czyn“.

Jak mogły spod pióra tego samego człowieka, spod pióra prawdziwego poety, spłynąć takie dysonanse, takie epileptyczne drgawki językowe?

Fryling przypomniał, że ks. Władysław Bandurski, biskup sufragan

lwowski, nauki rekolekcyjne w gimnazjum lwowskim rozpoczynał odmówieniem tego hymnu Wyspiańskiego. Ja też słyszałem natchnionego biskupa mówiącego ten hymn. Było to w roku 1916, we Wiedniu, w kościele polskim, nie pamiętam, czy z okazji 3-go Maja, czy śmierci Henryka Sienkiewicza. Wtedy ta recytacja wydawała mi się szczytami natchnienia, a owe wiersze arcydziełami poezji. Może to i szkoda, że podraastamy i skóra nam cierpieć od takiej poezji. Dialog z dramatu „Juliusz II“, między papieżem a Michałem Aniołem, wydaje mi się parodią, tyle że niedowcipną. Fryling powiada, nie on jeden zresztą, że dialog Kory i Demeter w „Nocy Listopadowej“ jest jednym ze szczytów naszej poezji dramatycznej — nie zgadzam się z tym, myślę, że jest jednym z jej upadków, nie chcę przytaczać cytatów, by się nie znęcać nad czcigodnym tekstem.

To zresztą nie tylko w Wyspiańskim uderza taka ogromna rozpiętość pomiędzy szczytem wlotu a głębią upadku — inny wspaniały poeta, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, jest autorem dramatów „Zawisza Czarny“ i „Judasz“, które z kolei brzmią jak parodie Wyspiańskiego. Ten sam poeta jest autorem największego arcydzieła polskiej prozy, jakim jest „Na Skalnym Podhalu“ — odkrywczością językową, majestatem rytmu, bogactwem słownictwa, humorem, stoi ono wyżej niż „Chłopi“ Reymonta, a to nie byle jakie wyżyny. Wydaje się, jakby w Tetmajerze

powtórzył się antyczny mit Anteusza: Anteusz, ilekroć stopami dotykał matki swej, Ziemi, nabierał nieśmiertelności, zginął dopiero w powietrzu, oderwany od niej. (Po dzień nie rozumiem, i żał mi, że Tetmajer nie dostał nagrody Nobla).

Gdy przychodzi kiedy recytować takie właśnie wiersze Wyspiańskiego, jak owe dialogi Matki z Córką, lu papieża z rzeźbiarzem, nie ma innej rady, trzeba te wiersze mówić w szczególności, nowoczesny, sposób: trzeba wszystkiemu wybujałości tuszować, trzeba je zobojętniać, podawać z tym większą prostotą. Angielski teatr, który ma obecnie najlepszych recytatorów świata, zna powiedzenie: „throw away the lines“ — odrzucaj wiersze, nie akcentuj ich zbyt, nie przejmuj się za dużo ich pasją, daj im samym mówić, organizuj tylko ich rytm i tempo, to wystarczy. Tego co jaskrawe, nie przejawiaj swym własnym „uczuciem“, bo zrobią się jaskrawości do kwadratu. Tylko przez dystans recytatora i utworu — tak jak w nowym teatrze domaga się tego Brecht — można by coś niecoś uratować z hyper-wyspiańszczyzny. Na wieczorze Frylinga, piątka recytatorów, niestety, jakby nie o tym wszystkim nie wiedziała.

P. Szpiganowicz wygrywał się za wszystkie czasy, dodawał sobie jeszcze min, demonicznych uśmiechów i zmrzeń oczu, deklamował te „zwól“, bpa Bandurskiego w kozioróg zapędzał. W „Legionie“ dziesięć razy powtarza się „cyt!“ — dziesięć

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

razy z rządu. P. Szpiganowicz wkładał całą duszę w te „cyty“, o dziewięć dziesiątych duszy za dużo. P. Oleksowicz ma niezłe warunki na dobrego recytatora, mocny dźwięczny głos i dużo szczerego zapachu. Powinien dużo, dużo pracować, dowiadywać się o zagadkach cesury i rytmu, uczyć się oddychania, by nie gubić tchu pośrodku wiersza — jestem pewny, że kiedyś, jeszcze nie jutro, będzie mówił wiersze dobrze. Niedźwiedzią przysługę oddają p. Reszczyńskiej pochlebcy i pochlebczynie, którzy dziś wychwalają ją, jak prawdziwi recenzenci nie chwalili kiedyś Siemaszkowej, czy Pancewicz-Leszczyńskiej. P. Reszczyńska ma dobre warunki sceniczne, jest u progu przyszłych umiejętności, im mniej będzie „przeżywała“ tekst na estradzie, tym gładziej i ładniej będzie go mówiła. Byle nie dawała ucha pochlebstwom, bo to najgorsza trucizna dla każdego talentu. Najlepsza z piątki była może Kora Brzezińska, dzięki ciepłemu głosowi, pięknej dykcji i rutynie zawodowej aktorki, która trzymała ją na wodzy. Być może, jeszcze lepszy był p. Kielanowski. Mówię być może, bo siedziałem z tyłu sali i nie słyszałem co mówił, dolatywały mnie tylko dźwięczne jęki. Nie wiem też dlaczego recytatorzy poustawiali się i rozsiedli na estradzie na różnych poziomach, czy szło o żywy obraz?

Z tym wszystkim, wieczór Jana Frylinga był bardzo miły i szlachetny w swym charakterze. Nawet niedostatki recytacyjne przestawały zbyt razić, gdy raz pogodzone się z zasadą, że się lubi co się ma.

Wydało mi się smutne, że ledwie połowa sali była zajęta. A jednak Jan Fryling, wiem to nie od dziś, ma duży zastęp czytelników szczerze

mu oddanych i pilnie śledzących wszystko co pisze — rzadko, ale bardzo dobrze. Nie dostrzegłem na sali nikogo z tzw. młodych — jakby tych wszystkich naszych konturowców, czy awangardziaków, czy wstępujących w szranki „redaktorów“, czy poetów — nic to nie obchodziło co się dzieje poza nimi. Nie było ich na Słonimskim, nie było na Frylingu, nie widziałem ich na trzecim wieczorze autorskim, w Instytucie gen. Sikorskiego, kiedy swe wiersze czytał Józef Łobodowski.

* * *

O Łobodowskim poecie napiszę osobno, przy pierwszej okazji, z wielkim gustem i ochotą. Wyrósł na naszych oczach na poetę pierwszej gildii. Zachwycam się jego wierszami, świetnym bogactwem języka, który pieni się i musuje, parska i pryca, wspina się, wierzga, jak pełnej krwi ogier, galopuje przed siebie, aż w nim śledziona gra.

Łobodowski ma namiętność do wyszukanego rymu, odkrywczość urzekających asonansów, rytm wiersza nie ma przed nim tajemnic, umie w sposób demonicznie piękny i pasjonujący powiedzieć w stu słowach, co inny powie za rozwekłe w dziesięciu. Są w nim sentymenty, czułości, delikatności uczuć, które — jak w wierszu „Do matki“ — niejedną na sali słuchaczkę przywiodły do prawdziwych łez.

W sali Instytutu Sikorskiego, zatłoczonej do ostatniego miejsca, do ostatniego dostawnego krzesła, nie licząc gęstwy we drzwiach i na schodach, było duszno, gorąco, prawie nie do zniesienia, Łobodowski nie należy do wirtuozów recytacji — wszystkie wiersze dudni głośno i

zarliwie, ale prosto i szczerze. Nie oszczędzał słuchaczy, jakby chciał zobaczyć, kto kogo przetrzyma? Czytał wiersze przez półtorej godziny, bez przerwy i wytchnienia, kiedy zapowiedział koniec, cała sala chórem domagała się bisów. Jeśli to nie do wód sukcesu, cóż nim jest?!?

Wprowadził go wierny przyjaciel i wielbiciel, Piotr Borkowski, zwycięzcy, ładnym przemówieniem.

Więcej wieczorów autorskich! Im więcej, tym lepiej!

Marian Hemar

DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową
gen. Władysława Andersa,
pod redakcją
ptk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.
Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace.
LONDON, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XVIII

zawiera m.in. prace:

S. POPKIEWICZ: Łączność radiowa z Krajem po powstaniu warszawskim.

S. ZOCHOWSKI: O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej.

J. GARLIŃSKI: Oświęcim walczący.

P. WANDYCZ: Jeszcze o misji Jerzego Potockiego w 1933 roku.

Ponadto: „Na 25-lecie P.R.L.“;
„W ZSSR o powstaniu warszawskim“,
dział wspomnień, polemiki i recenzje.
Str. 238

Cena: 30s. — 18.50 F. — 4 dol.



WOLNE OD CŁA
PACZKI ŚWIĄTECZNE OWOCE SAMOCHODY

PRZEKAZY PIENIĘŻNE

HASKOBA LTD

81, CROMWELL ROAD, LONDON, S.W.7.

Róg Cromwell Road i Gloucester Road — Tel. 01-373 7888 (3 lines)

Od krynoliny do mini

MODA I JEJ KAPRYSY

MODA jest zawsze odbiciem epoki, zawsze stara się iść za głosem czasu. Twórcy mody w najjaszkrawszy sposób podważają i rozluźniają stare formy. Na przestrzeni stu lat jakże wielkie zachodziły przemiany w modzie. Pod koniec dwudziestego wieku moda była produktem sztucznym i jak najbardziej zmanierowanym. Obecna moda jest okrzykiem buntu i pod hasłem wolności dąży do natury.

Jedyna rzecz, która łączy świat to moda. Wszyscy jej rozkazów słuchają. Wszyscy się jej poddają. Wszyscy zgodnie znoszą jej absurdalne kaprysy i ekscentryczności. Jej niewygody i związane z nią koszty. Modę wszyscy uważają za piękną aż do czasu gdy się zmieni. Wtedy nagle odkrywają, że ta dawna moda była śmieszna, brzydka lub piekielnie niewygodna. Jedynie stare kobiety pod tym względem stanowią wyjątek, wspominając z rozrzewnieniem toalety, w których „miały powodzenie“; kapelusze, w których im „było“ do twarzy i sukienkę, w której „on“ ją poznał.

Z jaką pokorą i uległością kobiety „Fin de siecle'u“ cierpiały, aby być piękne. Ściśnięte gorsetem, ledwo mogły oddychać. Zdeformowane żebra uciskały płuca. Zapięte na dziesiątki guzików buciki i rękawiczki — kępowały nogi i ręce. Absurdalna moda pętała kobietom kolana, tak że nie mogły wsiąść do karety, do

rożki czy tramwaju. Wysokie i sztywne kołnierzyki obcierały szyję aż do krwi. Olbrzymie kapelusze, przypięte równie olbrzymimi szpilkami — raniły głowę. Golono brwi. Na noc smarowano twarz żółtkiem, a ręce nacierano gliceryną. Włosy skręcano w papiloty, przypalano gorącym żelazkiem. Przypinano warokcze i sztuczne loki. Suknie zapięte na dziesiątki haftek z tyłu, wymagały pomocy męża lub pokojówki. Koronki i hafty majtek musiały ukazywać się spod sukienek dziewcząt.

I na to wszystko kobiety z rezygnacją i poświęceniem, z pokorą się godziły. I trzeba zaznaczyć, że godziły się na to kobiety z tak zwaną „edukacją“, z tak zwanymi „talentami“, nie pozbawione inteligencji; czytane lekturą kilkujęzyczną. Godziły się. Niewolnice mody. Buntu nie było ani rewolucji. Dyktatorzy mody przepowiadali ewolucję stopniowo, z biegiem czasu. Aż doszli do „mini“.

CZY BANKRUCTWO MODY?

Kobieta współczesna dąży do nagości. Protestuje przeciwko temu co okrywa, zasłania i przesłania jej ciało. Chcą pokazać wszystko co mają ładnego. Gombrowicz w „Operetce“ sławi nagość. Jego operetkowi galanci: Fior, Szram i Fimlet zgodnie śpiewają:

„Nagości wiecznie młoda witaj —
Młodości wiecznie naga witaj
Nagości młodo — nago młoda
Młodości nago. — młodo naga“.

Gombrowiczowska „Albertynka“, którą wszyscy mężczyźni w „operetce“ chcą ubierać i stroić — marzy o nagości i miłości.

Uważam to marzenie za wielkie dla kobiety niebezpieczeństwo i to nie ze względów zdrowotnych (zazębienia, odmrożenia), ani moralnych. Po prostu obawiam się, że Wilde miał rację pisząc: „Największym nieszczęściem ludzkim są spełnione marzenia“. Przekonała się o tym najlepiej Ewa w raj i . . . sięgnęła po liść figowy. Zdaje się, że dyktatorzy zaczynają to rozumieć i lansują „maksi“, aby chociaż na chwilę, na moment coś osłonić i okryć przed wzrokiem mężczyzny. Aby nie zbanalizowało się, aby nie przestało budzić zainteresowania, aby nie spowszedniało, zatracając urok. To uważam za wielki minus „mini“. Na plus należy zaliczyć, że obecna moda jest bezwzględnie zdrowsza, wygodniejsza, no ... i tańsza (skoro na suknię trzeba kupić skrawek materiału wielkości chustki od nosa).

A więc?

Wracamy w modzie do prymitywizmu, jak w malarstwie i w muzyce. Czyżby to miało oznaczać powrót do żywiołowości? Do egzystencji improwizowanej, niepewnej i awanturniczej?

KRYNOLINA I PANOWANIE KOBIETY

Krynolina należała do epoki wyzysku klasowego. Wymagała sztucznej konstrukcji obręczy, na których rozpościerały się kilometry jedwabiu, koronek, wstążek i sztucznych kwiatów.

Krynolina ukrywała, maskowała brzydotę ciała zdeformowanego przez ciążę; przez nadmierną otyłość wywołaną łakomstwem, brakiem ruchu i rozleniwieniem. Krynolina kryła różne nienazwane schorzenia; niedomyte ciało i brudną bieliznę. Trzymała mężczyznę w sztucznej odległości. Krynolina była strojem kobiet, które miały przewagę nad mężczyzną, jak cesarzowa Eugenia czy królowa Wiktorja. Przed kobietą w

GRYF PUBLICATIONS LTD.

PORADNIK

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego
Zagranicą

KSIĄŻKA NIEZBEDNA W REKACH KAŻDEGO NAUCZYCIELA
POLSKICH SZKÓŁ SOŁOTNICZ

Do nabycia: Cena: 10/-

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

krynolinie mężczyzna klękał. Całował kraj jej sukni. Pojedykował się w obronie jej czci i odrzucony — zabijał się dla niej.

Kobietę w krynolinie zdobywano z trudem, czasami miesiącami i latami. Rozbierano z wielkimi komplikacjami. Krynolina była fortecą obwarowaną, broniącą się do upadłego i poddającą się na warunkach poddyktowanych pruderią. Mężczyźni tyranie krynoliny znosili z poddaniem.

TURNIURA

— KAPRYS HIPOKRYZJI

Całe zakłamanie końca dziewiętnastego wieku kryło się poza parawanami, ekranami i kulisami. Wszystko osłaniano i ukrywano poza woalką i uśmiechem.

„Blichtr“ — to było ulubione słowo malujące epokę biedy, lombardów, długów i lichwy. Sztuczny komfort, sztuczne nadbudówki turniury; savoir vivre rozsiadły na pufach, kanapach i bujanych fotelach. Fałsz. Wszystko na zewnątrz — dla ludzi. Na ulicy: szelest jedwabnej halki, tiurniury, ogony, treny, wyblanszowane twarze. W domu: roztargana głowa i „matinka“ wycerowana i nieświeża. Dramat skrywanego w czterech ścianach nieszczęścia. Hipokryzja. Mażeńskie trójkąty. Dzieci kukulcze. Neurastenia i ... syfilis.

Fałsz tiurniury i sztucznie wyhodowanych ambicji. Hipokryzja moralności pani Dulskiej. Skrywane w czterech ścianach nieszczęście dziedzicznie obciążonych syfilisem chłopców urodzonych bez skóry; dziewczynki ociekających od mokrych liszai z głową obandażowaną, z ropiejącymi oczami.

Epoka tiurniur, gorsetów i skrywanego nieszczęścia! Świat tabetyków, wyrzucających nogę w charakterystyczny sposób. Jeżdżących w wózku. Sparaliżowanych stopniowo, ślepnących, znieruchomiałych.

Biedne elegantki w tiurniurach pielęgnujące chorych mężów i parzące na nieszczęście dzieci.

Gorset zaciskał się nad niespokojnie bijącym sercem. Histeria dławiała gardło owinięte piórami „boa“, a cylinder osłaniał głowę neurastenika. Lekarze byli bezradni.

BILANS MODY

Moda jest zawsze lustrem — odbija się w nim epoka. Obecna moda niesie pocieszenie. Tak. Bezwzględnie tak. „Mini“ odkrywa zdrowe, wysportowane nogi młodego pokolenia kobiet. Ale pozbawia kobiety czaru ... tajemnicy. Wszystko jest dostępne dla wzroku i uczuć. Wszystko łatwe, osiągalne i łatwo namacalne. Brak romantyzmu zwiewnej sukni i kwiatu wpiętego we włosy. Brak rozkołysanego walca. Urok spuszczonej powieki nie istnieje. Może mężczyźnie współczesnemu jest zbędny? Nie wiem. W każdym razie moda odkrywając nagość i zmierzająca w swych intencjach do oczarowania mężczyzny — zawiodła. Pod tym względem wyniki mody są ujemne. Widok nagości jest tak powszechny, tak zbanalizowany, że przestał być atrakcją. Mężczyźni nie zwracają uwagi na najpiękniejsze dziewczęta podrygujące przed nimi i wyskakujące w tańcu. Ich męska, zdobywcza natura nie ma pola do popisu. Nie potrzebują o nic zabiegać, o nic walczyć, nic zdobywać. Role się odwracają. Dyktatorzy mody dbają teraz więcej o zreformowanie stroju mężczyzny, wyczuwając, że nadeszła epoka władzy, która przeszła z rąk kobiecych w męskie.

Obserwuję to w telewizji i w teatrach w Buenos Aires. To „bu“ — mężczyzna ubrany w smoking ze srebrnej lamy, czy w garnitur z czerwonego aksamitu! To „bu“, z lokami opadającymi na szyję, jest upragniony, poetyczny, niedostępny! Czaruje i trudny!

San-dro! — krzyczą tłumy kobiet. San-dro! — skandują. Biją brawo, rzucają kwiaty; powiewają transparentami z jego fotografią, płaczą i (rzucony przez niego) krawat rozrywają na strzępy. Oh!

A on śpiewa romantyczne piosenki o sercu, tęsknocie, kwiatkach i łzach.

Jest w tym wszystkim jakieś nieporozumienie. Współczuję dziewczętom w „mini“ — zapewniając je że my, ich matki byliśmy o wiele bardziej kochane w sukniach odkrywających ramiona — tylko na balach, a nogi — tylko na plażach. Nasza nagość była od święta, rzadka i ... atrakcyjna. Tańczyliśmy objęte, tań-

czyliśmy z nim razem. Nigdy same, jak wy — takie śliczne, zdrowe, na pół nagie, dążące do prymitywu egzystencji niepewnej i awanturkiej.

Jest w tym wszystkim jakieś nieporozumienie.

Janina Surynowa-Wyczółkowska

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1969

Kazimierz Wierzyński

SEN MARA

Poezje

Cena: sh. 18/6; F. 11.00; dol. 2.40

Księgarnia S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE

w W. BRYTANII

(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: 60 sh. — 7.50 dol. — 36 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

„KALENDARZYK

KOMBATANTA“

NA ROK 1971

do nabycia w księgarni S.P.K.

ZAGADKA MONY LIZY

PROFESOROWI BOHUSZOWI-SZYSZCZE

Dzieło sztuki jest piętnem twórczości widzianym poprzez temperament.

(Emile Zola)

PRACE Zygmunta Freuda skierowały zainteresowania psychoanalityków również w stronę estetyki. Dzięki nim pewne problemy sztuki i jej twórców przedstawiają się nam dzisiaj w innym świetle aniżeli naszym dziadkom. Dowiedzieliśmy się, że służy ona w pierwszym rzędzie do uśmierzenia niezaspokojonych życzeń twórczego artysty a również i tych, dla których ją tworzy. Głównym celem artysty jest wyzwolenie się z wewnętrznych niepokojów, rozterek i pragnień. W swych dziełach wyżywa się do woli, ucieleśniając swe najintymniejsze fantazje.

Dzielo, zasłuży wówczas na miano prawdziwej sztuki, gdy pozbawione wszelkiej ostrości i drażliwości, ukryje również osobisty pierwiastek autora. Nie zaniedbując obowiązkowych praw estetyki, mistrz wzbudzi tak przedstawionym tworem zaciekawienie i zadowolenie.

Blisko pięćset lat temu urodziła się osoba, która jest do dzisiaj przedmiotem światowego podziwu, wdzięczności i niesłabnącego zainteresowania. Próby interpretacji jej portretu, stanowiącego chlubę Luwru, również osobowości z niego bijącej, wywołały istną powódź uczonych roztrząsań, komentarzy i polemik. Brały w nich udział przedstawiciele sztuk pięknych i nauki. Nie na ostatnim miejscu — lekarze.

Była nią córka niejakiego Antonio Gherardini, statecznego obywatela neapolitańskiego. Licząc 16 wiosen, wyszła za mąż za dwukrotnego wdowca, Francesco del Giocondo, z Florencji, starszego od niej o 20 lat. Widocznie coś znaczył w swej ojczyźnie, skoro należał do zaszczytnego grona dwunastu Buonomini. Jedyna ich córeczka zmarła przedwcześnie. Kronikę wspominają także o synu Bartolomeo. Trudno jednak ustalić, która z 3- ch żon była jego matką.

Dokładnie przed 470 laty Leonardo powrócił z Wenecji do Florencji i zabrał się do portretowania Mony Lizy. Wtajemniczeni twierdzą, że inicjatywa wyszła od artysty, kiedy intuicją i nadprzyrodzonym zmysłem geniusza odkrył w niej źródło wulkanicznej inspiracji. Trwało to twórcze napięcie przez cztery długie lata tak, że najkorzystniejsze i najzaszczytniejsze propozycje ze strony innych kobiet, nawet panujących rodów, spotkały się z odmową portrecisty. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ani korzyści materialne ani spekulacja na czekającej go sławę nie były motywem jego postępowania.

Tak wybredny i subtelny mistrz jak Leonardo znalazł niewątpliwie w swej modelce coś szczególnie pociągającego. Liczyła wówczas 21 lat, a z chwilą rozpoczęcia pozowania zdradzała, z punktu widzenia lekarskiego, pewne znamienne objawy. Zwrócił na nie uwagę i poświęcił im znakomite studium dr K. D. Keele.

Mona Lisa siedzi na portrecie w wygodnym fotelu, swobodnie oparta. Jej grzbiet jest wyprostowany; opiera się oboma ramionami o poręcz fotele; prawe ramię wznosi się nieco; ciało zwraca się nieznacznie ku lewej stronie; prawa ręka pokrywa lewą.

Taką pozycję przybiera kobieta brzemienna. Dzięki niej może wyprostować wygięty ku przodowi kręgosłup (lordoza) i zwiolczyć silnie napięte mięśnie. Odgięcie tułowia i podparcie go ramionami odpręża klatkę piersiową i ułatwia oddech.

Bacne spojrzenie na 21-letnią kobietę odkryje — rzecz zastanawiająca — nie młodością jeszcze tryskającą modelkę, lecz przedwczesną matronę. Ówczesny ideał piękności kobiecej, znany nam ze szkicownika florenckiego mistrza różnił się wybitnie od przedstawionego na portrecie. Twarz Mony Lizy jest pełna, omal że nalana. Piersi, dobrze pokryte, zarysowują się wy-

raźnie. Również kontury brzucha, przebijające przez ubiór, pozwalają na przyjęcie zwiększonej objętości. Ręce, przedmiot podziwu wszystkich wieków, są jednak lekko obrzękłe. Brak pierścieni na palcach przemawia również za tym przypuszczeniem.

Jej uśmiech — klękajcie narody! — daje najlepsze świadectwo boskiego czaru modelki i geniuszu malarza. Widocznie kierowało nim jakieś niezwykle głębokie i trwałe uczucie. Wiadomo przecież, że Leonardo nie rozstawał się z obrazem, nie doręczył go mężowi i zabrał go ze sobą do Francji pod pretekstem konieczności poczynienia pewnych poprawek.

Jakiego rodzaju uczuciu wzbudziła Mona Lisa w geniuszu obojętnym zresztą na wdzięki kobiece? Seks, z natury rzeczy, nie wchodził w rachubę. Jak w wielu innych wypadkach Freud pomoże nam w rozwiązaniu zagadki.

Leonardo był nieślubnym dzieckiem Piero da Vinci i chłopki Catarina. Niedobry związek — niezbyt pochlebnie świadczący o wybredności ojca da Vinci, któremu winniśmy wiekiustą wdzięczność za jego moralny i towarzyski upadek. Po przyjęciu na świat chłopca da Vinci ożenił się z panną swojej sfery, nazwiskiem Donna Albieri Amadori. O matce swego nieśmiertelnego potomka niezbyt pamiętał. Dopiero po 5-letnim, bezdzietnym pożyciu z oficjalną żoną adoptował uroczego chłopca, a matkę wydał za mąż za pastucha.

Zanim to nastąpiło, przez 5 lat darzyła Catarina syna przesadnie czulą miłością i to, zdaniem psychoanalityków, wywołało u niego „matczyne utrwalenie“, wyrażające się przez całe życie namiętną ciekawością. Kobiety miały w jego życiu jedynym znaczenie — symbolizowały matki. I ten ich status budził w nim niesłabnące zainteresowanie i wyraźny pociąg. Madonna z dzieckiem należała do jego ulubionych projektów.

Na kluczowej placówce *)

OBSZERNA i pięknie wydana książka, zawierająca wspomnienia naszego ostatniego przedwojennego ambasadora w Paryżu. Juliusza Łukasiewicza, poprzedzona została notą biograficzną pióra Wacława Jędrzejewicza, redaktora całości. Pierwsze jej zdanie, w tłumaczeniu na polski, brzmi:

„Można by powiedzieć, że losy II wojny światowej znalazły się w rękach polskiego ambasadora w Paryżu. Gdyby rząd francuski i francuskie władze wojskowe uznały ważność dramatycznego apelu ambasadora Łukasiewicza o bombardowanie Niemiec na początku września 1939 roku i o masową ofensywę armii francuskiej na słabo obsadzoną Linie Zygryfryda, losy wojny na pewno potoczyłyby się inaczej“.

Trudno o bardziej niefortunne zachęcenie czytelnika do zapoznania się z rekomendowaną książką. Losy wojny leżałyby tylko wówczas w rękach

*) „Diplomat in Paris 1936-1939“, Papers and Memoirs of Juliusz Łukasiewicz Ambassador of Poland. Edited by Wacław Jędrzejewicz. Columbia University Press, New York and London, 1970. 408 stron i 26 ln. plus 15 ilustracji.

polskiego ambasadora, i to z wieloma zastrzeżeniami, gdyby był on wtedy nie przedstawicielem padającego właśnie państwa, a potężnym dyktatorem, mającym do swej dyspozycji milionowe armie, świetnie uzbrojone, rwące się do walki i czekające tylko na jego rozkaz. Nikt we Francji nie był wówczas gotów, ani fizycznie ani moralnie, do jakiegokolwiek ofensywy, a rada, by uderzyć od zachodu, gdy Niemcy walczyły z Polską, była wówczas podzielana przez wszystkich Polaków. Rozumiał to każdy żołnierz, każdy robotnik, każdy harcerz, pełniący służbę pomocniczą.

To samo pierwsze zdanie biograficznej noty miałyby jednak swoje uzasadnienie, gdyby dotyczyło nie spraw całego świata a wyłącznie polskich wewnętrznych problemów. Tak się bowiem złożyło, że pod koniec września 1939 roku wykonywanie suwerennych praw Rzeczypospolitej znalazło się na krótki okres czasu w rękach polskiego ambasadora w Paryżu. Był to szczytowy moment kariery Juliusza Łukasiewicza, dzięki któremu wszedł do naszej historii w ramach II wojny światowej.

Władze Polski przedwojennej spodziewały się, że mimo przegranej na własnej ziemi, poprowadzą dalej nawiązane państwową na terytorium zachodnich aliantów i dlatego dosyć wcześnie przekroczyły granicę rumuńską. Niestety, sojusznice zobowiązania nie zostały przez Rumunów dotrzymane i rząd ich, pod naciskiem Niemców, internował Prezydenta Rzeczypospolitej, premiera i naczelnego wodza. Rumuni utrudniali także łączność internowanych ze światem i wytworzyła się zupełnie wyjątkowa i niemożliwa sytuacja, w której naród polski został nagle pozbawiony legalnych przywódców. Ocy wszystkich Polaków skierowane były wówczas na Francję, podążali tam politycy i żołnierze, którym udało się wydostać z kraju, i tamtejszy polski ambasador znalazł się niespodziewanie w sytuacji człowieka, na którym nie tylko spoczywał obowiązek reprezentowania swego kraju, ale który nagle musiał w swe ręce uchwycić atrybuty władzy przysługujące normalnie wyżej postawionym osobom.

Dnia 24 września 1939 roku zjawił się w Paryżu gen. Sikorski, ale choć był we Francji znany i popularny, nie piastował żadnego pol-

ZAGADKA MONA LIZY

W czasie malowania portretu Mony Lizy stworzył inne arcydzieło, symbolizujące macierzyństwo: „św. Annę z Dziewicą i Dzieciątkiem“. Przedstawił na nim dwie matki, dwie twórcze i czule istoty, przypominające mu własne dzieciństwo.

Studia anatomiczne Leonarda dowodzą, że prokreacja człowieka pasjonowała go wielce. Zamieścił ilustracje ciągłego procesu, od spółkowania, przez poczęcie, aż do wydania na świat noworodka. Wśród tych szkiców znajdują się zdumiewająco trafne rysunki, poświęcone anatomii kobiet, również brzemiennych. W tekście przebiega podziw dla przebiegu ludzkiej genezy. Niezliczone uwagi nawiązują do tego procesu.

Tło portretu Mony Lizy stanowią

rozlewające się morza i wynurzające się góry. Można uważać je za nawiązanie do stworzenia świata.

Historycy sztuki zwracają uwagę na różne aspekty dzieła. Jeden z pierwszych, Vasari, widział w nim podziwu godne modelowanie natury i genialną kolorystykę. Sirén dopatrywał się poszukiwania duchowości, inteligencji i piękna. Rachela Taylor stwierdziła natomiast zimny rozum bez miłości, a nawet utajone okrucieństwo artysty. Dla Antonii Valentin modelka reprezentuje jedynie dobrze rozwiniętą kobietę, której małżeństwo i macierzyństwo wypełniło figurę i twarz. Heydenreich jest pełen podziwu dla precyzyjności, z jaką portret oddaje wielkość i uniwersalność mistrza. Freud, poeta duszy, zatrzymuje się najdlu-

żej przy uśmiechu. Uśmiech, jego zdaniem, oczarował Leonarda do tego stopnia, że odtąd obdarzał nim wszystkie kreacje swej fantazji. Uśmiech był dla niego łącznikiem z przedmiotem swej miłości — z matką.

Pisząc przed laty o portrecie, wyraziłem przypuszczenie, że podświadomym motywem do uchwycenia uśmiechu i oddania czaru osoby, była chęć wyrażenia hołdu i podziwu dla renesansu, tej twórczej epoki, która hojnie płodziła geniuszów a wyzwoliła człowieka. Jeśli wybrał do tego celu za model istotę w pełni kobiecej aktywności, może istotnie brzemiennej, nie klóci się ten fakt z moją hipotezą.

Fryderyk Goldschlag

skiego urzędu. Ambasador Łukasiewicz musiał wziąć na siebie ciężar decyzji o najwyższym państwowym znaczeniu i pod naciskiem szybko biegnących wypadków i po narażeniach z przebywającymi na miejscu polskimi politykami powierzył gen. Sikorskiemu dowództwo armii polskiej we Francji. Władze francuskie, które od samego początku zaczęły się mieszać do polskich spraw wewnętrznych, akceptowały tę nominację. Nie na tym zakończyła się wyjątkowa rola ambasadora. Nieustannie, bez przerwy prowadził rozmowy, pertraktacje i sondáže, by doprowadzić do jak najszybszego uformowania pełnych nowych władz państwowych. Przy jego jak najczynniejszym udziale Władysław Raczkiewicz przejął urząd Prezydenta RP z rąk ustępującego Ignacego Mościckiego i tymczasem powierzył funkcję premiera gen. Sikorskiemu, który był już naczelnym wodzem.

Te wszystkie ówczesne dyplomatyczne rozmowy, wewnętrzne narady, pertraktacje i naciski, te wszystkie trudności, dramatyczne decyzje i szybkie osiągnięcia — są doskonale przedstawione w pamiętnikach Łukasiewicza i stanowią trzon jego wspomnień. Należą doń także interwencje i naciski na sojuszników, by wywiązali się ze swych zobowiązań i zaatakowali Niemców, ale jak wspomniano, nie odniosły one żadnego skutku i na tym odcinku ambasador nie zanotował sukcesu.

Odnosi się to także do okresu wcześniejszego, poprzedzającego wojnę. Łukasiewicz (miał wówczas 44 lata) przybył do Paryża w roku 1936, gdy Hitler trzymał już Niemcy w żelaznym uścisku i miał poza sobą pierwszy akt, łamiący międzynarodowe zobowiązania, bo 7 marca tegoż roku jego oddziały wkroczyły do Nadrenii. Był to dopiero wstępny sygnał, ale doświadczeni ludzie już wówczas powinni byli wiedzieć, że nadchodzą niebezpieczne lata. Hitlera nie próbowano powstrzymać i to była najgorsza wróżba dla przyszłości. Nowy polski ambasador we Francji stanął przed zadaniem wzmocnienia więzów, łączących obydwie kraje, przygotowania wizyty francuskiego generalissimusa Game-

lin w Polsce i generała Śmigłego-Rydza we Francji, przekonania Francuzów, że Polska jest aliantem pewnym i silnym. Trzeba pamiętać, że w roku 1934 Polska zawarła pakt nieagresji z Niemcami i nie było wiadomo po której na pewno opowie się stronie. W zakresie ostatniego zadania sukcesy ambasadora były skromne, choć robił, co mógł. Stał przed problemem bardzo trudnym, właściwie nierozwiązalnym, bo miał przekonać Francuzów o czymś co nie istniało. Polska nie reprezentowała większej siły i musiało tak być przy naszym słabym uprzemysłowieniu i otwartych, prawie zupełnie, granicach. Duch był mocny ale ciało mdłe a ono, w nowoczesnej, technicznej i przemysłowej wojnie, liczy się najbardziej.

Wspomnienia ambasadora zostały uzupełnione szeregiem dokumentów i dodatkowych materiałów, co jest zasługą redaktora książki i co pozwala na lepsze zrozumienie sytuacji, w jakiej znalazła się Europa w ostatnich, przedwojennych latach. Uzupełnienia te obejmują kilka raportów i szereg listów. Razem jest tych dokumentów 64. Są tam także wstawki i uwagi, napisane przez samego redaktora, które łączą materiał w zwartą całość.

Warto jest podkreślić jeszcze jeden aspekt omawianych pamiętników. Łukasiewicz wspomina w nich o nastrojach, jakie miały jakoby panować w Niemczech po ataku na Polskę. Według zgodnego głosu jego samego, opartego na źródłach francuskich, Józefa Lipskiego, ambasadora w Berlinie, i Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, akredytowanego w Rzymie, nastroje te były złe, wprost pesymistyczne. Trzeba się chwilę zadumać nad tą oceną. Jakże odległa była ona od rzeczywistości, w jakże błędnym świetle przedstawiała hitlerowskie Niemcy, ileż było w niej pobożnych życzeń, tak bardzo niebezpiecznych w pracy polityków.

Nie dziwnego, że przy takich opiniach o wrogu, nie widziano, nie chciano wprost widzieć słabości sojuszników. Gen. Sikorski, który w ciągu kilku dni przejął ster politycznych i wojskowych polskich poczynań, patrzył na Francję już nie przez różo-

we, ale tęcze okulary. Tak, jak przed wrześniem chcieliśmy wierzyć, że jesteśmy silni, zjednoczeni i gotowi, tak po straszliwym rozczarowaniu ówczesnej kampanii, przerzuciliśmy naszą wiarę na francuskiego sojusznika. Musiało nas spotkać drugie, może nawet jeszcze boleśnieszce rozczarowanie. Nasz francuski ambasador nie był tak bezkrytycznym entuzjastą Francji jak generał Sikorski, ale i on błędnie oceniał francuskie nastroje. We wspomnieniach swych (str. 330) napisał:

„Było się definitywnie pod wrażeniem, że masy były zdecydowane na wojenny wysiłek i na ofiary życia nie dla celów defensywnych...”

I dalej: „Wierzę, że aktywna polityka byłaby bardziej zgodna z nastrojami ludności niż czysto defensywna, a w stosunku do nas — zupełnie bierna”.

* * *

Po kilku miesiącach wnioski te okazały się zupełnie bezpodstawne. Dawno już w historii wojen nie widziało się narodu, jak ówczesny francuski, który by tak zdecydowanie, tak masowo odmówił obrony własnego kraju. O jakich można tam było mówić nastrojach ofensywnych.

Czy w świetle tych ocen nasi ambasadorowie na niezwykle ważnych placówkach naprawdę wiedzieli co się wokół nich dzieje?

Krytyka tamtejszych lat, opinii i działań nie umniejsza wartości omawianej książki. Jest to jeszcze jedna nasza pozycja na anglosaskim rynku, tak słabo przez nas obsługiwany, pozycja ciekawa, pouczająca i wartościowa.

Józef Garbiński

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK

POPIERAJ FIRMY POLSKIE

DE GAULLE I STALIN

PAMIĘTNIKI de Gaulle'a, których jego nieoczekiwana śmierć nie pozwoliła mu dokończyć (czwarty ich tom zamieszczał w urywkach, w tłumaczeniu angielskim, niedzielny *Sunday Telegraph*) zawierają w każdym ich tomie*, może najwartościowsze dla historii jego rządów, tzw. *Dokumenty*, czyli jego indywidualne rozkazy, telegramy i listy, będące bezpośrednim dowodem jego działalności przed, podczas i po pierwszej wojnie światowej, jako wodza „wolnych Francuzów”. Niezależnie od wydrukowania, de Gaulle złożył ich oryginały w *Archiwum państwowym*.

Spośród tych dokumentów może najbardziej interesującym nas Polaków jest protokół z trzech rozmów de Gaulle'a ze Stalinem, jakie miały miejsce w Moskwie dn. 2-go, 6-go i 8-go grudnia 1944 r., zakończonych podpisaniem traktatu wspólnego porozumienia i wzajemnej pomocy Francji ze Sowietami.

Z dosłownie cytowanego przebiegu rozmów (t. III-ci Pamiętników, str. 379-396) dowiadujemy się przede wszystkim że de Gaulle wybrał się do Moskwy na skutek zaproszenia go przez Stalina za pośrednictwem ambasadora przy „wolnych Francuzach” Bogomołowa. Nic dziwnego, że Stalin powitał de Gaulle'a jak najuprzejmiej, rozpytując się o stan powojennej Francji. Odpowiadając, de Gaulle nie krył trudności Francji, zwłaszcza w dziedzinie transportu i pod względem braku surowców. Lecz de Gaulle'a interesował temat inny, który z własnej inicjatywy poruszył, mianowicie sprawę gwarancji pokoju silnej Francji w zależności od wspólnoty z potężną Rosją. Przy tym de Gaulle skorzystał ze sposobności, by podziękować Stalinowi za inicjatywę wprowadzenia Francji, i to na równi z innymi państwami, na członka *Komisji spraw europejskich*.

Z kolei Stalin zapytał de Gaulle'a,

*General de Gaulle. *Memoires de Guerre*. Plon. T. III-ci. *Le Salut*. Lata 1944-1946.

czy Francja posiada już koncepcję współpracy z Rosją, na co de Gaulle miał gotową odpowiedź, że wedle niego warunkiem bezpieczeństwa Francji jest posiadanie przez nią *Renu*, jako jej wschodniej granicy. Nie sprzeciwiał się temu twierdzeniu Stalin, ale dodając od siebie, że wszelkie granice państwowe są wyłącznie złudą — przykładem zawodna linia Maginota gdyż bezpieczeństwo państwa gwarantuje tylko jego siła i to w łączności z innymi państwami dowodem tego jest dla Stalina fakt, że Niemcy nie byłyby pokonane bez wspólnej akcji W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Dlatego sprawa granicy na Renie, powinna być ustalona wspólnie z Londynem i Waszyngtonem. Z twierdzeniem tym zgadza się de Gaulle, wypowiadając przekonanie, że oba te państwa przyłączą się do uznania *Renu*, jako wschodniej granicy Francji.

Po czym, wobec ustalenia w zasadzie wschodniej granicy Francji de Gaulle porusza również ważną dla Francji sprawę przyszłej wschodniej granicy Niemiec. Wedle Stalina, dawne ziemie polskie jak *Prusy Wschodnie*, *Pomorze i Śląsk*, winny być „restytuowane” Polsce, ale również pod warunkiem zgody na to zachodnich i wschodnich Niemiec, jak też Francji, W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Przyświadcza mu chętnie de Gaulle, wyrażając nadzieję że i Ren, jako wschodnia granica Francji będzie objęty tą samą wspólną umową. Zgadza się z nim Stalin i Mołotow, ubolewając tylko, że uprzednie umowy francusko-rosyjskie z r. 1892-go oraz pakt z 1935 r. nie były dotrzymane. De Gaulle zapewnia Stalina, że nie jest *Lavalem* i że umowa, o której mowa, będzie dotrzymana, choćby ze względu na bezpieczeństwo Francji. Na tym oświadczeniu de Gaulle'a ta rozmowa ich się kończy.

Powtórnie, obaj mężowie stanu spotykają się 6-go grudnia, tym razem z inicjatywy de Gaulle'a, ze względu na jego chęć szczerego porozumienia się z Rosją również w

sprawie Polski. Czynił to w przekonaniu, że Stalin zna i rozumie wagę stosunków jakie od wieków łączyły Polskę i Francję, pod względem cywilizacji, religii oraz polityki — co Stalin potwierdził. Z tego względu — zdaniem de Gaulle'a było i jest zdaniem Francji utrzymanie niezależności Polski, co jednak nie zawsze jej się udawało. Po 1918 r. Francja np. dążyła dalej, by niezależna Polska była zdolna do przeciwstawienia się Niemcom, lecz polityka Becka i ludzi z jego otoczenia zniechęciła Francję wskutek niebezpieczeństwa jakie wywoływała dla Francji, jako też dla Sowietów. Wobec tego de Gaulle obawia się takiej samej polityki Polski nawet wobec pokonanych Niemiec, tym bardziej że niezmiennym pragnieniem Niemiec jest posługiwać się Polską dla własnej niemieckiej polityki. Wówczas wtrąca się Stalin: „Niemcy chcą zawsze pochłonąć Polskę!” Potwierdza to przekonanie Stalina de Gaulle i dlatego chętnie przyjmuje do wiadomości zamiar poszerzenia zachodnich granic Polski, gdyż sam ten fakt stanowić będzie przeszkodę w utrzymaniu dobrych stosunków Polski z Niemcami.

Jednocześnie de Gaulle wysuwa zamiar powołania do życia europejskiego *bloku politycznego*, składającego się z Francji, Polski oraz Sowietów. Lecz Stalin odnosi się do tego zamiaru z niechęcią! Pamięta on bowiem, że Polska w ostatnich 30-tu latach była dwukrotnie „korytarzem niemieckim” ułatwiającym zwycięstwo nad Rosją, z drugiej strony Polska w ciągu wieków dwukrotnie zdobyła Moskwę, a Rosja też dwukrotnie zdobywała Warszawę. Otóż tego rodzaju stosunki polsko-rosyjskie winny — wedle Stalina — ustać raz na zawsze. Tymczasem polska grupa polityczna, przebywająca w Londynie, jest dalej wrogo usposobiona wobec Rosji, odmiennie od grupy lubelskiej, która Rosji jest życzliwa i Polsce potrzebna, chociażby wskutek przeprowadzenia reformy rolnej, gdy grupa londyńska jest

O pożytecznej książce

KSIĄŻKA to bardzo ważny środek porozumienia się pomiędzy narodami. To potężne narzędzie informacji i propagandy. Dlatego kiedy w końcu 1942 roku przybyłam do Anglii, od razu starałam się dowiedzieć, jak się przedstawiają nasze wydawnictwa: co się pisze i tłumaczy. Czas był dla nas bardzo przychylny, byliśmy w modzie, należało więc kuć żelazo póki nie ochłodziło i drukować jak najwięcej.

Pokazano mi, jako jedną z główniejszych pozycji, tłumaczenie „Wiernej rzeki“. Z wielkim zainteresowaniem zabrałam się do czytania. Niestety, spotkał ją los podobny do „Chłopów“ Reymonta w angielskim tłumaczeniu. Po pozbawieniu „Chłopów“ ich największego ornamentu, tj. bujności, smakowitości i barwy języka, pozostała sama fabuła, dla nas jasna, ale niezrozumiała dla obcych. Podobnie rzecz się miała z Żeromskim. Kiedy jego dynamizm, gdzie każde słowo płonie, jego żywiołowość, wtłoczone zostały w tak beznamiętny język, jakim jest angielski, pozostała znów tylko fabuła, której treść i duch nie trafiają już zupełnie do anglosaskiego czytelnika.

Podobnych pozycji wydawniczych było więcej. Nie mieliśmy jakoś na emigracji szczęścia do właściwego

wyboru książek przełożonych na obce języki, poza — ma się rozumieć — pewnymi wyjątkami.

Wiesław Lasocki, tłumacząc na angielski swojego „Wojtka spod Monte Cassino“*) i dokonując w nim szeregu zmian i adaptacji przy współpracy pisarza angielskiego, Geoffrey Morgana, uderzył we właściwy ton. Ten „Soldier Bear“ znacznie łatwiej trafia do mentalności wszech-Anglosasów, a tym samym więcej mówi o nas, aniżeli tłumaczenia wielu arcydzieł literatury polskiej.

Nic tak nie przemawia do Brytyjczyków, jak opowieści o zwierzętach. Kipling dał rzeczy przepiękne, ale gdyby nie był napisał „Księgi Dżungli“, nie byłby tym Kiplingiem, jakim został na zawsze. Stworzył bowiem, mimo ich ucłowieczenia, postacie zwierząt, jakie dzielą z brytyjczykiem jego 7 dni tygodnia.

W Anglii jest swojego rodzaju kult zwierząt, które od pokoleń wierzą ludziom i ufają im. Dlatego angielski kot, siedzący niczym egipski bożek na murku swojego domu, nie ucieknie z prychnieniem przed lada obcym, a tutejsza psia-

*) **SOLDIER BEAR**, Geoffrey Morgan and W. A. Lasocki, Collins, Londyn, £1.25.

ducha nie warknie, tylko sama podsunie łeb pod byle głaszczącą rękę. To kraj, gdzie zwierzęta żyją za pan brat z człowiekiem, gdzie każdy pies na zagrodzie, można powiedzieć, jest równy wojewodzie. Przez to Wojtek, ów „Soldier Bear“, opisany z wielką prostotą, jest doskonałą rekomendacją dla Polaków. Od chwili, gdy usłyszano o nim w BBC, gdy na jego temat przeprowadzono w obydwu telewizjach rozmowy z autorem, gdy ukazał się w szeroko rozpowszechnionym matczyno-gospodarskim piśmie „Woman's Weekly“, a obecnie w książce dla brytyjskiej młodzieży i dorosłych, Polak to ten, z którym umiał współżyć nawet niedźwiedź.

I żołnierski niedźwiedź, który z precyzją pomagał pod Monte Cassino 22 Kompanii Zaopatrywania Artylerii wyładowywać pociski armatnie, przetłumaczony teraz na język norweski i ostatnio z kontraktem na Stany Zjednoczone, przypomni raz jeszcze wojenne dzieje Polaków. Taka rekomendacja jest nam bardzo potrzebna w dobie obecnej, kiedy niektóre nacje, jak mogą tak nas obsmarowują czarną mazią. Do rekomendacji przyczynia się również forma książki dobrze wydanej przez firmę Collins z Londynu i rysunek-

DE GAULLE I STALIN

dla Polski szkodliwa. Szczęściem, jej znaczenie znacznie zmniejszyło się i to z dwóch powodów: gdy w Polsce toczyły się walki, rząd polski opuścił kraj, wyzwalał się z niewoli; po wtóre, tragiczne powstanie w Warszawie było dziełem emigracji londyńskiej, nie liczącej się z nieprzygotowaniem Sowietów do wspólnej z nią akcji. De Gaulle potwierdza różnicę między polskim ośrodkiem londyńskim i lubelskim, przy czym zapowiada dążenie do ich zespolenia.

Trzecie spotkanie Stalina z de Gaullem dn. 8-go grudnia 1944 r. — było w zasadzie opracowaniem paktu francusko-sowieckiego, którego treścią i celem było zabezpieczenie obu państw przed Niemcami, dotyczące

ich granic, rozbrojenia Niemiec i wspólnoty akcji Francji z Sowietami. De Gaulle był za internacjonalizacją basenu Ruhry i trójprzymierzem Ameryki, Francji oraz Sowietów, na który zgadza się Stalin, ale wyraża obawę wpływu na W. Brytanię polskiej grupy londyńskiej wobec jej antyrosyjskiego nastroju, podkreślając możliwości porozumienia się z Francją jedynie w razie uznania przez nią polskiej grupy lubelskiej. Mimo tych wahań i różnicy poglądów, tegoż dnia podpisali traktat francusko-sowiecki, J. Bidault w imieniu Francji a W. Mołotow w imieniu Rosji sowieckiej. Rzecz charakterystyczna, że pomimo jego 8-miu paragrafów nie

obejmuje on sprawy granicy niemieckiej, a więc i polskiej.

Zaledwie w rok później, de Gaulle w piśmie z kwietnia 1945 r. skierowanym do uczestników układów w Teheranie, wyraża ubolewanie, że Francja choć będąca członkiem *Komisji* Międzynarodowej, nie brała w nich udziału i nie została nawet poinformowana o ich treści. Żąda on również wpływu na podział, dostęp i administrację Berlina, co udaje się mu uzyskać. O Polsce w piśmie tym nie ma ani słowa.

De Gaulle wówczas nie miał możliwości odzyskania dawnego wpływu Francji na Polskę, zaprzędaną już Sowietom przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię.

Przegląd spraw wojskowych

Rzekomo zwolnione tempo zbrojeń. Sztokholmski Międzynarodowy Instytut dla Badania Spraw Pokoju Światowego („SIRPI“) ogłosił w swym drugim roczniku dłuższe studium na temat falowania wydatków na zbrojenia i doszedł do wniosku zresztą bynajmniej nie bezspornego, że, o ile one w latach 1966-1968 wzrosły o 30 procent, to w roku 1969 utrzymały się na poprzednim poziomie a w 1970 najprawdopodobniej będą o 2 procent mniejsze. Stwierdzenia te są choćby tylko dlatego niepewne i nawet wątpliwe, że badania wspomnianego instytutu nie objęły Chin oraz że nie uwzględnia on faktu, iż kraje opanowane przez komunistów część swoich wydatków na zbrojenia ukrywają i mogą daleko taniej sprzęt zbrojeniowy produkować i swoje siły zbrojne gorzej opłacać, nie mówiąc już o tym, że w wielu państwach rok budżetowy nie kończy się 31-go grudnia.

Z tymi zastrzeżeniami podają wyniki wspomnianych badań:

1. Świat cały (z wyjątkiem Chin) wydał na siły zbrojne w 1969 roku równowartość 180 miliardów dolarów, w tym sama Ameryka 80 miliardów a Sowiety rzekomo tylko 42 miliardy. Państwa należące do NATO wydały w sumie 105 miliardów a państwa należące do Układu Warszawskiego rzekomo tylko 49 miliardów. Podanie tych cyfr bez niezbędnych komentarzy wprowadza oczywiście w błąd. Zwłaszcza pominięcie faktu, że Ameryka prowadzi w Wietnamie od lat wojnę nie „per procura“, która pochłonęła w 1969 jedną czwartą część budżetu resortu obrony, zaciemnia obraz.

2. W roku 1970 wydatki Ameryki zmniejszą (w porównaniu z 1969 rokiem) prawdopodobnie o 7,5 procent a pozostałych państw NATO o 5,5 procent, natomiast oficjalne wydatki państw Układu Warszawskiego wzrosną blisko o 2 procent.

(Dokończenie ze str. 27)

ki, bo trochę dawnej techniki a l'Andriolli — i już efekt osiągnięty. Wojtek, jako „Soldier Bear“, bardziej wprowadza nas w sektory międzynarodowe, aniżeli wierna lecz biedną rzeka, która jest przykładem jak polska literatura, im piękniejsza, tym głębiej tkwi w niedostępnym dla innych świecie polskiej psychiki narodowej.

Teodozya Lisiewicz

3. Największy wzrost wydatków na zbrojenia wykazują jednak państwa Bliskiego Wschodu, prowadzące na razie „wojnę bez wojny“. Egipt wydał w 1969 roku 928 milionów a Izrael 790 milionów dolarów a w roku 1970 najprawdopodobniej o 20 procent względnie o 27 procent więcej. Rekordy te bije Iran, który przewidyuje wzrost o 32 procent.

4. Wydatki na zbrojenia państw nie posiadających własnego przemysłu uzbrojeniowego wzrastają od lat szybciej niż w krajach uprzemysłowionych. W roku 1969 importowały one sprzęt zbrojeniowy wartości ponad 1,5 miliarda dolarów, przy czym 50 procent dostarczyła rzekomo Ameryka, 20 procent Rosja a Francja i Wielka Brytania łącznie 25 procent. Eksport amerykański wzrósł podobno o 100 procent, a sowiecki zmalał o 50 procent.

Wzrosły również dostawy sprzętu dla wielu państw Ameryki Południowej i Dalekiego Wschodu.

Przytoczone przykłady dostaw są jednak częściowo niedokładne i tym samym podkopują zaufanie do trafności syntetycznych wniosków. Dziwić musi również brak wzmianki o tym, że wskutek gwałtownego wzrostu cen i kosztów robocizny na Zachodzie jego możliwości inwestycyjne zmalały jeszcze silniej, niż przytoczone cyfry wskazują.

Dane instytutu o stanie arsenałów są niekompletne i częściowo nieścisłe. Dlatego nie warto ich przytaczać — poza twierdzeniem, że od 1.1. 69 do 30.6.70 przeprowadzono w sumie 73 eksplozje atomowe i wodorowe, przeważnie podziemne, w tym 51 w Ameryce, oraz że suma potęgi głowic atomowych i wodorowych, strategicznych i taktycznych, oceniana jest na 50.000 megaton TNT, wobec czego na głowę każdego mieszkańca globu przypadłoby 150 ton TNT, nie licząc arsenału chińskiego.

Hiszpania. Nowa umowa hiszpańsko-amerykańska w sprawie baz amerykańskich weszła (po przewlekłych targach) w życie 26-go września i obowiązuje na 5 lat. W myśl tej umowy Ameryka zachowuje prawo posiadania na obszarze Hiszpanii 3 baz lotniczych Torrejon pod Madrytem, Saragossa i Moron — w pobliżu Gibraltaru) oraz bazy morskiej i telekomunikacyjnej w Rota. W zamian za to Ameryka wybuduje Hiszpanii, przynajmniej od strony

Morza Śródziemnego, przeciwlotniczy system alarmowy, połączony z systemem NATO oraz dostarczy hiszpańskim siłom zbrojnym 36 samolotów „Phantom“ starszej wersji, 25 helikopterów, ponadto 100 czołgów, bliżej nieokreślonej ilości ciężkich dział, 2 samoloty-cysterny i 6 samolotów transportowych C-130 tudzież sporo lżejszego sprzętu. Ponadto zmodernizuje hiszpańskie wytwórnie zbrojeniowe, przeszkoli hiszpańskich techników i przekaże Hiszpanii zbudowane już rurociągi dla paliwa o długości 485 mil. Niezależnie od tego wypożyczy hiszpańskiej marynarce wojennej 5 niszczycieli, 2 konwencjonalne okręty podwodne, 4 poławiacze min, 3 okręty desantowe i kilka jednostek pomocniczych.

Choć ta pomoc, oceniana na ca. 400 milionów dolarów, i poprzednie pomoce rządu amerykańskiego oraz inwestycje prywatnych firm amerykańskich, sięgające 800 milionów dolarów, umożliwiły rozwój turystyki i tym samym przyczyniły się walenie do hiszpańskiego „cudu gospodarczego“, przedłużenie umowy z Ameryką bynajmniej nie jest popularne. Nawet część zwolenników reżimu Franco, zarażona przykładem Francji, dopatruje się w tej umowie naruszenia suwerenności Hiszpanii. Zapominają ci krytycy o świetnym powiedzeniu b. premiera australijskiego, Menzies, że lepiej oddać część suwerenności na rzecz sojusznika niż ją stracić całkowicie na rzecz wroga. Niestety, młode pokolenie w Hiszpanii ponad normę liczne, nie pamięta już krwawej wojny bratobójczej, poprzedzającej wojnę światową, i coraz śmiejiej krytykuje wyzwoliciela Hiszpanii spod czerwonego jarzma.

NIEMCY ZACHODNIE. Z dniem 30 września przeszło w stan spoczynku 18 generałów i 3 admirałów, m. i. 2 dowódców korpusu, gen. gen. Thilo i Uchtritz, i dowódca floty, wiceadmirał Hetz. Pod koniec marca ma nastąpić dodatkowa czystka korpusu generalnego, obejmująca nie tylko starszych wiekiem, ale także krytycznie nastawionych do polityki obecnego rządu, lub obowiązującej linii wychowania żołnierza. W miejsce gen. Steinhoffa, który, jak już kiedyś awizowałem, odchodzi do Waszyngtonu na funkcję przewodniczącego wydziału wojskowego NATO, zostanie inspektorem „Luftwaffe“ gen. Günther Rall (52 lata) i to z dniem 1. 1. 1971.

KAGE

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

KOŃCZY się rok stary i zaczyna nowy, o którym z przyczyn mi nieznanym mówimy, że ma być „dosi”, co oznacza zapewne życzenie by był inny od poprzedniego a tym samym lepszy. Kto należy do zanikającego gatunku piszących listy — przez kilka tygodni będzie się mylić wypisując datę. A wszyscy będziemy dumni z powziętych postanowień noworocznych, zwanych także z cudzoziemska „noworocznymi rezolucjami”.

Bo oto jest „Znowu styczeń” jak tytułował swą ostatnią bodaj powieść o ludziach i o czasie nieodżałowanej pamięci człowiek dobry i pisarz pogodny, jakim był Antoni Bogusławski.

Po miesiącu albo jeszcze wcześniej rok nowy przestanie być nowym i zamieni się w zwykły ciąg 52 tygodni, kubek w kubek do siebie podobnych.

Po miesiącu zapomnimy też o postanowieniach noworocznych.

A szkoda.

CO KTO SOBIE OBIECUJE I DLACZEGO

Każdy sobie coś na nowy rok obiecuje, choć rzadko do postanowień się przysna je by nie narazić się na kpiny bliźnich.

Postanowienia noworoczne należą do kategorii tzw. „wzniosłych wzlotów” ducha ludzkiego. Coś jakby postanowienie poprawy po niezbyt dokładnym rachunku sumienia. Uznajemy, że „co było to było”, a ważne jest to co będzie. Odwracamy kartę z napisem „rok łośński” i otwieramy nowy zapis w księdze głównej życiowej buchalterii.

Niepoprawny optymizm.

Jak co roku, najwięcej będzie postanowień zarzucenia papierosów. Monopole tytoniowe w krajach „postępowych” oraz koncerty tytoniowe w „kapitalistycznych” powinny popaść w rozpacz. Ministrowie skarbu czy innych finansów podtrzymujących budżet państwowy z podatku od trucizny powinni utopić się w przerębli. Nie czynią tego. Bo zanim ruszy kra na rzekach sprawdzi się ich przekonanie, że „jakoś to będzie”. I rzeczywiście, zawsze „jakoś to jest”, gdy podstarzały nowy rok dobiega swego zakaszlanego, enfizemo-bronchialnego, rako-płucnego tudzież krążeniowo-myokardialnego końca. „Jakoś to jest” — bo obroty przemysłu tytoniowego wzrosły o 7.89%.

Są ludzie, którzy co roku obiecują sobie pokonanie, którejs z zatwardziały

wad charakteru. Ten nie będzie się zrywał, tamten przestanie się lenić; kto inny zacznie oszczędzać a jeszcze ktoś przestanie skąpić. Samuel Pepys, najszczęśliwszy ze wszystkich pamiętnikarzy (bo tak był bestia pewien, że nikt nigdy nie odcyfruje jego stenogramu) obiecywał sobie zwykle, że będzie się wystrzegał chodzenia do teatru, picia wina kanaryjskiego przed dziesiątą rano, wynoszenia się nad bliźnich, oraz wdzięków Mary Skinner.

Nie obiecywał nigdy, że przestanie brać łapówki. Widocznie trzeźwo ocenił rzeczywistość, bo przecież w miarę porostania w cnotę wzrastają też koszty „bytowe”. A Huckleburry Finn (ten od Tomka Sawyera, uwieczniony przez Marka Twaina) roztropnie ograniczał umoralniając postanowienia do zaprzestania kradzieży kawonów.

Bo po kawonach bardzo chorował na żołądek.

A WIĘC I JA POSTANAWIAM

Osobiście jestem wstrzemięźliwy w obietnicach. Ambicje poprawy mego charakteru dawno mnie opuściły po tylu zawodach, jakie tenże charakter mi wyrządził. Obietnice nadgonienia zalety w korespondencji składam sobie i tak co tydzień. Nad bliźnich się nie wynoszę, bo mnie bliźni zawsze w tym uprzedzają. Zwierząt nie dręcę, dzieci nie biję, na alkohol jestem impregnowany; jestem skromny w mowie, myśli i uczynkach — więc co tu jeszcze naprawiać, jaką poprawę obiecywać?

A jednak.

W setną rocznicę Komuny paryskiej, zjednoczenia Niemiec dziś tak starannie podzielonych, tudzież kilkuset innych wydarzeń historycznych, postanawiam wrócić na łamy „OB” pisząc „plotki”, regularnie raz na miesiąc. Te oto dzisiejsze są dowodem niezłomności mego postanowienia. Oczywiście, rachunek bez gospodarza ... bo że ja je teraz piszę nie oznacza wcale, że Antoś Czuliowski je wydrukuje. „Bo największy z tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz” — jak słusznie zauważył Boy. Nie, to chyba niewłaściwy przykład ... „Dwoje”? Powinno być „dwuch”, a to znowu budzi inne asocjacje i na dobitkę psuje rytm wiersza. Więc o tych dwojgu i o tych dwuch i w ogóle o „permissive society” przy innej okazji.

Tymczasem, na wypadek, gdyby te „plotki” ukazały się jednak w druku, przypominam się tym co mnie z tej

pisaniny pamiętają oraz przedstawiam się tym — oby jak najliczniejszym — którzy należą do grona nowych czytelników „OB”. Zaczęłam pisać „plotki” wieki temu i napisałam ich legion i to co tydzień, zanim „OB” nie przekształcił się z tygodnika w miesięcznik. Niewielu dziś się zdobywa na felieton co tydzień, ze szlachetnym wyjątkiem Wiesia Wahnouta (pisuje raz na dwa tygodnie. Przyp. red.), który je nawet zaopatruje w odnośniki, ale ja? „Już nie to zdrowie” — jak śpiewano w „Kabarecie Starszych Panów”, „minionym” dziś jak wszystko co było pogodnym w PRL.

JAK POWSTAŁ PODPIS „J.P.H.”?

Jeśli nie zdrowie to „szron na głowie” upoważnia mnie do reminiscencji.

Otóż pierwsze plotki podpisywałam „P. J. Herwarth”. „P. J.” to inicjały moich imion, chrzestnego i z bierzmowania. „Herwarth” też miało swoje uzasadnienie, o które mniejsza. Inicjały przestawiono. Zamiast „P. J.” wydrukowano „J. P.”. Nic ważnego. Więc dumny z przyjemnego odzewu zasięgnęłam opinii kolegów po fachu. Co myślą o tym typie felietonu złożonym z różnych kawaików. Myśleli źle, myśleli dobrze — jak tam komu wypadło. Lecz obrany przez mnie pseudonim nie zyskał uznania zwłaszcza w oczach naczelnego wówczas, i dzisiaj, sowietologa naszej emigracji. Herwarth brzmi zbyt po niemiecku — oświadczył profesor Zdzisław Stahl.

Wyrzuciłam „Herwartha” i tak zostało „J. P. H.”

Jak przystało na redaktora pisma humorystycznego, którym wówczas także byłem, nie dostrzegłem komizmu tego incydentu. Na czym polegał wyjaśnili mi nieżyjący już dziś przyjaciele: Ludwik Rubel i Ryszard Piestrzyński, zresztą ówczesny redaktor naczelny „Orla Białego”.

„GASPACHO ANDALUZ” W SNOBOLANDZIE

Kto nie wie niech się dowie, że „gaspacho andaluz” to zupa podobna do na-

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO”

„UMLEITUNGSTADT“

szego chłodnika. Zupa — jak nazwa wskazuje — andaluzyjska. Zamiast podkładu buraczanego ma pomidorowy i jest świetna. Dodaje się do niej wszelkiego rodzaju „śmieci“ w postaci drobno siekanej cebuli, peperonów, majeranku i innych warzyw tudzież ziół. Parę „gambas“ w towarzystwie posiekanego jajka na twardo, unoszące się na powierzchni chłodnego gaspacho rozchmurzy czoło największego śledziennika.

W swej sześciomiesięcznej wyprawie milionerskiej do Snobolandu na Costa del Sol pani Mina Tomkiewicz musiała chyba zjeść gaspacho. Jeśli tego nie zrobiła niech żałuje, jeśli zaś fakt ten przed czytelnikami ukryła to mam do niej ogromną pretensję. Zwłaszcza, że spożywała — jak przyznaje — posiłek w jednym z najpiękniejszych „paradores“ w całej Hiszpanii. Mianowicie, w tym na szczycie góry zwanej od czasów arabskich Gibralfaro (nie Gibraltar, który leży, gdzie indziej a nazywa się na codzień „El Peñon“). Z owego Gibralfaro widok na zatokę malagańską — oczywiście w nocy — wynagradza z ogromnym okładem małość malagańskiego muzeum, w którym przemiła autorka „Bomb i myszy“ widziała chłopięce szkice Picassa. Jako chłopiec Picasso ganiał po Alamedzie marząc o porcji „helados“. Jako młodzieniec chodził pewno po Larios i pożądanym okiem śledził ruchy „las Malageñas“, o których uroku, wzdętku, kształtach i powabach śpiewają „Los Paraguayos“.

Málaga, miasto gdzie siedział w więzieniu Cervantes pisząc swój traktat satyryczny o „La Limpieza“, o „czystości“ rasy, sławionej przez inkwizycję czterysta lat przed Rosenbergiem i innymi pomyleńcami.

Málaga to ani nie Costa del Sol ani nie Snoboland. To miasto gdzie chciałbym żyć i gdzie chciałbym doczekać spokojnej śmierci, nie zaprzatając sobie głowy co wyprawiają pół — i ćwierć milionerzy o całe 12 kilometrów dalej ku południowi, gdzie się rozpoczynają „Los Molinos“ nazywane, lecz tylko w języku turystycznym, Costa del Sol. Starannie unikając „Carretara de Cadiz“, wybrałbym się chętnie do Mijas by sprzed najstarszej na Półwyspie, bo kwadratowej a nie owalnej, Plaza de Toros śledzić górskie ścieżki, którymi kapitan Chełmicki szedł na odsiecz dwóm kompaniom 4 pułku Legii Nadwiślańskiej broniącej ruin zamku w Fuengirolí przed Anglikami.

Monachium szykuje się do Olimpiady. Szykuje się starannie. Buduje „największe“, to „największe“ tamto itp. Jak każde miasto przed Olimpiadą.

Buduje solidnie a jednocześnie bez troski, co się przejawia w burzeniu tego co się zbudowało przed paru laty. Oraz w kopaniu przemysłowych dziur na wszystkich możliwych do rozkopania ulicach i placach. Ma to zapewne przyczynić się do usprawnienia komunikacji miejskiej. Będzie więc kolej podziemna. Lecz co gorzej, będą także tramwaje z którymi Niemcy nie chcą się rozstać za żadną cenę, nawet gdy są Bawarami. Może dlatego, że skutecznie blokują ruch uliczny.

Ruch uliczny to setki tysięcy samochodów: źle zaparkowanych i jeszcze gorzej prowadzonych przez kierowców, przekonanych że siedzą w czołgu. Tak są pewni siebie za kierownicą. I dlatego niebezpieczni.

Monachium wygląda jak jedna wielka dziura. Nie w przenośni. Broń Boże. Nie ośmieliłbym się użyć tego określenia w przenośni. Mowa przecież o mieście, które Niemcy uważają za kombinację Paryża, Rzymu, Londynu i Aten. Więc słowo dziura oznacza po prostu dziurę na środku ulicy, wykopaną w rekordowym czasie, bez ostrzeżenia. Przed każdą dziurą znajdujemy napis „Umleitung“ co znaczy „Objazd“. Nie znajdujemy natomiast żadnej innej informacji. Na przykład gdzie zajędziemy posłuchawszy wezwania na tablicy z „umleitungiem“. Możemy wylądować daleko poza Monachium, albo dokładnie w tym samym miejscu gdzie byliśmy przed chwilą.

I tak już podobno ma pozostać, także po Olimpiadzie. Bo w Monachium nie się nie zmienia pomimo ciągłych zmian. Posłuchajcie co pisał na ten temat w swoich „Wspomnieniach“ Aleksander Jełowicki przed 133 laty: „Niemcy gadają mi: To pan nie był w Monachium! Wszak to nowy Rzym co do sztuk pięknych, nowy Londyn co

do okazałości, nowy Paryż co do zabawy, i każdy Bawarczyk mi to powtarza ... W 1837 roku odbywając podróż po Niemczech, wstępuję do tego Monachium; zastaję miasto niewielkie, niczego, ale tak mu daleko do wielkiego miasta, jak na Ukrainie małemu futorowi do tęgiej wsi. Monachium jeszcze nie zagospodarowane, wszystko w nim dopiero pozaczynane, jak to bywa u małego gospodarza na małym gospodarstwie. Monachium tak wygląda przy Paryżu jak nowy grosz przy starym dukacie, co znaczy że nie czterdzieści ale sześćset mniej wart“.

Z wyjątkiem kursu nowego grosza w stosunku do starego dukata — wszystko się zgadza.

Pod jednym względem ówczesnie panujący król Ludwik bawarski wyprzedził Francuzów. De Gaulle kazał wywieźć Polaków na Korsykę z okazji wizyty Chruszczowa w roku bodaj 1962. Jełowicki pisze: „Król bawarski kiedy Mikołaj do niego przyjeżdża, przez grzeczność dla niego więzi Polaków, której to niesprawiedliwości i ja doświadczałem w tej chwili, kiedy to pisałem, dnia 7 września 1838 roku, w Aleksanderbadzie“.

Dbajmy o zdrowie. Ale ... Jest i taki aforyzm:

„If you have to stop living, to avoid dying you may as well be dead“.

Czyli wszystko się opłaca, lecz tylko do pewnych granic.

J. P. H.

Zbrodnia Katyńska
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
z przedmową
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

The Crime of Katyn
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIEGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

MORSTIN I SŁOWACKI NA SCENIE

„OBRONA KSANTYPY“

W TEATRZE Polskim ZASP nie skończyła się jeszcze seria wznowień. Po trzeciej prapramierze „Premiery Pana Premiera“ E. Chudzyńskiego, wystawionej po raz pierwszy przez S. Belskiego (1900-1960), wznowiono w nieco zmienionym ujęciu graną również przed 15 laty z S. Belskim jako Sokratesem komedię Ludwika Hieronima Morstina (1886-1966) pt. „Obrona Ksantypy“. Chyba warto podnieść ten zapewne przypadkowy, ale nie mniej słuszny hołd pamięci dla zasłużonego na emigracji człowieka teatru. Obecnie rolę Sokratesa objął Bogdan Urbanowicz, a po Irene Korzebrzezińskiej rolę Ksantypy — Krystyna Dygat-Kiersnowska. Reżyseria pozostała w ręku Leopolda Kielanowskiego, jak i współpraca artystyczna Haliny Żeleńskiej w zakresie scenografii, którą sygnuje Jan Smosarski, wywiązując się ze swego zadania doskonale.

Dzięki częściowej modernizacji ta szczególnie udatna komedia zyskała na aktualności przez podkreślenie odwiecznych wątków ogólnoludzkich. Poza tym analogicznie do komedii naukowych Antoniego Cwojdzńskiego stanowi ona wzorowy przykład komedii filozoficznej. Powstał tak udramatyzowany obraz starcia wielkości ducha z zaletami urody, praktyczności i poświęcenia. Dzięki nieprzeciętnym zaletom aktorskim Krystyny Dygat główna uwaga widza skupia się na jej kreacji. Dłuższa przerwa w pracy scenicznej pozwoliła tylko dojrzeć jeszcze bardziej i wyszlachetnić jej talentowi aktorskiemu, który winien by znaleźć szersze ujęcie, niż na scenkach klubowych. Z samego założenia sztuki mniej blasków i koloru posiada postać Sokratesa. Mądra prostota w ujęciu swej roli i intencja tekstu pozwoliły Urbanowiczowi przeświecić tę postać prawdziwym uduchowieniem.

Inne role mają raczej charakter pomocniczy, dygresyjny i epizodyczny. Tyreusz S. Zięciakiewicz wprowadza doskonale wyważony

humor, Charmides Witolda Schejbała budzi sympatię. Gorzej wypadła postać Miryny odtworzona przez Magdę Marek. Chyba lepiej poradziłaby sobie z nią Irena Delmar posiadając też doskonałe warunki sceniczne i obeszlaby się bez seplenia i nieporadnych gestów rąk. Naturalną swobodą przemawiały epizodziki nieprzeciętnie uzdolnionej Krystyny Podleskiej jako Sofrone. Swadą odznaczały się występy Roberta Oleksowicza jako malarza Parrasjosa, i A. Kamińskiego jako urzędasza Epistatesa. Z właściwym sobie humorem R. Ratschka potraktował rolę durnego garncarza i przemądrzałego lekarza — Eryksymacha. Nowoczesne stroje czy tańce, a zwłaszcza melodie ludowe były całkiem na miejscu. Cennym nabytkiem dla teatru może okazać się twórca roli Fedrosa — Jan Hubert — o dobrych warunkach scenicznych i chwalebnym sposobie zachowania się na scenie.

„BALLADYNA“ SŁOWACKIEGO W „SYRENIE“

W konsekwentnym postępie teatr „Syrena“ wzbogacił swój repertuar o nową sztukę z epoki romantyzmu. Po Fredrze przyszła kolej na Słowackiego. Z bogatego katalogu jego sztuk wzięto tę, która wydaje się być najbliższą wyobraźni dziecięcej: „Balladynę“ osnutą na wątku baśniowym i na fantazji ludowej. Gdy Słowacki ją pisał Lemani był mu Goplem, nad którego brzegami rozgrywa się akcja.

W doskonale skomponowanym i wygłoszonym przedświu prezes Komitetu Teatralnego dr W. Czerwiński uwypuklił elementy składowe tej „upoetycznionej klechdy“ z jej składnikami pesymizmu, zachwytu i walki o władzę. Wskazał na wpływy szekspirowskie, do których można by dodać i francuskie wzięte z bezpośredniego obcowania z żywym teatrem swej epoki. Sprawę tę omawiał Zygmunt Markiewicz w księdze na stulecie zgonu Słowackiego wydanej na emigracji. W ciągu 11 lat istnienia dorobek „Syreny“ wyraził

się w wystawieniu 20 sztuk na 200 przedstawieniach dla ok. 50 tys. widzów.

Ciekawą i odważną próbę zainscenizowania „Balladyny“ podjęła kierowniczka artystyczna teatru i reżyserka — Regina Kowlewska. Osiągnęła niewątpliwie wynik chwalebny. Bogatą oprawę scenograficzną dali Feliks i Jadwiga Matyjaszkiewiczowie. Nowocześnie ujęte tło muzyczne przez A. Marka zrobione było jakby pod natchnieniem słów poety w „Beniowskim“, ze „pomnik jego (czyli dzieło) „się rozjęczy jak harfa Eola ..., rozlabędzi wszystko i rozśpiewi...“ Nie bez zasługi byli też i operatorzy światła: A. Gołębiewski i J. Jasik.

Słuszne okazało się, choć wydawało się zaskakujące, powierzenie roli Balladyny, o przeszło stuletniej tradycji scenicznej, młodziutkiej Bognie Kłakównie. Piękne wywiązanie się z zadania przez adeptkę sztuki teatralnej dobrze wróży jej przyszłości na scenie, zwłaszcza że akcent położony był na charakteryzacji i geście. Mniej pola do popisu miała Danuta Rał w znacznie skromniejszej roli Aliny. Dobrze w stylu utrzymana była postać Goplany w wykonaniu Ewy Lohman. Wielkie pochwały należą się Michałowi Kiersnowskiemu za Grabca. Jednolitą sylwetkę płacznego Filona dał Henryk Żurawiel. Dobraną i ruchliwą parkę Skierki i Chochlika stanowiły Zosia Ejsmond i Wandzia Lissowska, czasem tylko doniosłości ich głosików nie towarzyszyła dobra dykcja. Przyjęta ofiarnie na siebie przez Benona Lastowskiego rola Pustelnika-króla wymagałaby od niego pogłębionego studium ruchów starego człowieka.

W znanych warunkach teatru emigracyjnego trudno byłoby spierać się z reżyserią w sprawie obsady niektórych ról. Wiadomo, jakie komplikacje, gdy ze skromnego pulu aktorskiego trzeba obsadzać dwie jednocześnie wystawiane sztuki. Jednakże pomimo ładnych warunków zewnętrznych Zbigniewa Youriewskiego nie sposób pogodzić się

DZIWIWA POLEMIKA

W SWYM artykule pt. „Nacjonalizmy lokalne a imperializm rosyjski“ (grudniowy numer „Orla Białego“ z 1970 r.) Stanisław J. Paprocki nazwał mnie „anachronicznym i tendencyjnie nacjonalistycznym“, „zaczeptym i, niestety, niekiedy prowokacyjnym“, a ponadto zarzucił mi „szerzenie zamętu per fas et nefas swą nacjonalistyczną publicystyką“, w związku z tym artykułem pt. „Wielkie Księstwo Litewskie“, zamieszczonym w październikowym numerze „Orla Białego“ z 1970 roku. — Dziękuję za epitety.

ROZWAŻANIA HISTORYCZNE

Obecnie nie wiemy i, nie będąc prorokami, nie możemy wiedzieć co się stanie w przyszłości z Białorusinami, Ukraincami i Litwinami w wyniku mechanicznej, brutalnej i wyrafinowanej polityki rasyfikacyjnej. Największy niepokój budzi zachęcanie przy pomocy bédźców materialnych do emigracji, a nawet przesiedlanie i deportacja, ludności w głąb Rosji i kolonizacja rosyjska terenów zamieszkałych przez te narody. Z biegiem czasu może ich po-

zostać na tych terenach nie więcej niż jest obecnie Polaków, którzy przed ostatnią wojną stanowili bodaj największy procent ludności. Obecnie Lwów jest prawie rosyjski, a w Wilnie Rosjanie stanowią ponad 1/3 ogółu mieszkańców. Jak widać z sowieckiego (ostatniego) spisu ludności są na Syberii i nawet liczni Polacy.

Zarówno artykuł J. Łobodowskiego jak i mój dotyczyły przede wszystkim rozważań historycznych, przy czym do jego trafnych i wnikliwych wywodów dodałem moje osobiste spostrzeżenia i nieco poszerzyłem temat. Artykułu Trębickiego nie wymieniłem dlatego, że faktycznie nie istotnego nie napisał. Ta jego mętna woda i stwierdzenie, że wszyscy są winni nie były warte wzmianki.

JAKI NACJONALISTA?

Z mego artykułu widać, że nie jestem litewskim nacjonalistą i, że niepewną jest rzeczą czy jestem polskim. Z tego co napisałem (jak również Łobodowski) wynikałoby raczej, że jestem białoruskim nacjonalistą, albowiem stwierdziłem, że

na długo przed unią z Polską na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego istniała kultura i cywilizacja białoruska, a żmudzkiej wtedy śladu nie było. Tak twierdzą Białorusini i są zadowoleni, gdy ktoś zgadza się z ich tezą historyczną. Umieszczone w artykule Paprockiego cytaty z Łobodowskiego i mego artykułu są absolutnie ze sobą zgodne i wzajemnie się uzupełniają, chociaż z niezrozumiałych względów dopatruje się on w nich sprzeczności.

Białorusini idą dalej i twierdzą, że po rozpadnięciu się Wielkiego Księstwa Litewskiego Białoruś — jako położoną w centrum tego Księstwa — należało nazwać Litwą, a to co dziś nazywamy Litwą powinno było pozostać przy swej historycznej nazwie — Żmudź, czego współcześni Litwini bardzo nie lubią i boją się takiej koncepcji.

MIEDZYWOJNIE

Paprocki twierdzi, że lepiej zna ode mnie stosunki narodowościowe na Kresach Wschodnich w okresie niepodległości Polski dlatego, że będąc sekretarzem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych w Warszawie „nie spotkał się nigdy z twierdzeniem językoznawców, że język białoruski jest raczej gwarą języka polskiego“.

Jest to dowód (okoliczność) negatywny i dlatego nie ma żadnej wartości i znaczenia nie tylko w sądzie, lecz zgodnie z logiką również w prywatnych stosunkach ludzkich.

Osobiście pełniłem służbę publiczną, polegającą na stałym stykaniu się z miejscową ludnością, w Nowogródku, Pińsku i Brześciu n/Bugiem. W dzieciństwie nigdy nie słyszałem mowy białoruskiej i poleszuckiej. Mimo to bez nauki rozumiałem doskonale te języki i mogłem ich używać w mowie. Wobec tego użyłem zwrotu, że język białoruski jest raczej gwarą języka polskiego“. Jeżeli to drażni Paprockiego, a może nawet Białorusinów, zgadzam się na odwrotny układ tego zdania, a mianowicie, że „język polski jest raczej gwa-

MORSTIN I SŁOWACKI

z jego skarykaturowaniem postaci Kirkora. Niezbyt szczęśliwie wypadła też rola Kostryna w wykonaniu Andrzeja Ścibora, z jego przygarbionym na-pan-brat z Królową. Nie sposób zatrzymać się nad falangą trochę niemrawych i nieporadnych dworaków i rycerzy. Dla ich dobrej woli wypada tylko wymienić B. Kucharka, A. Kamińskiego i J. Senka, którzy podjęli się nawet podwójnych i potrójnych ról. To samo należy się drużkom W. Nowakowskiej, I. Izmańlowicz i M. Groszek. Niezwykle sprawny inspicjent T. Jarzembowski przyczynił się do złudzenia, że rzecz odbywała się na scenie obrotowej.

Bynajmniej nie przez zapomnienie, ale dla szczególnego uznania, na ostatek (czyli na deser) zostawiono omówienie roli matki-wdowy odтворzonej przez Marynę Buchwal-

dową. Dała żywą, bogatą, w miarę dobroduszną, a w punktach kulminacyjnych wysoce dramatyczną postać sceniczną, która wzbogaca jej dorobek teatralny, mający już za sobą niejedno piękne osiągnięcie, poczynając od roli Doroty w „Przepióreczce...“ S. Żeromskiego.

Przedstawienia „Balladyny“ idą kompletami. To nie tylko wyraz uznania dla pięknego wysiłku teatru „Syrena“ i jego kierownictwa artystycznego i organizacyjnego. Faktem jest bowiem, że wielki procent widzów rekrutuje się nie tylko z dzieci i młodzieży, ale i z dorosłych. Stanowi to dowód wielkiej popularności tej sztuki i chęci odświeżenia przez widzów, z których każdy w tej czy innej postaci się z nią zetknął, swoich dawnych wspomnień.

Jan Ostrowski

rażę języka białoruskiego“, bo są one bardzo do siebie podobne. Nie kijem, to pałką.

Inaczej jest w W. Brytanii. Znającemu dobrze język angielski trudno jest zrozumieć londyńskiego „cockney“, lub irlandzkiego robotnika. Ci co byli w Glasgowie wiedzą jak trudno tam porozumieć się z konduktorami. Mimo to mowa tych ludzi jest uważana za gwarę języka angielskiego, a nie odrębne języki.

Pwoodem jest to, że co jest językiem, a co gwarą należy do sfery konwencjonalnej. W dodatku są różne narody mówiące tym samym językiem i te same narody mówiące różnymi językami, a wśród nich istnieje niezliczona ilość dialektów i gwar, które w różnym stopniu są podobne do języka ludzi wykształconych. Np. Białorusini mogliby mówić po polsku i być Białorusinami, tak jak Irlandczycy, Amerykanie i inni są Irlandczykami, Amerykanami itd., chociaż mówią po angielsku. Za czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego byli oni — tak samo jak ludzie mówiący po polsku, po rusku i po żmudzku — Litwinami.

Mój ojciec za czasów rosyjskich i podczas pierwszej okupacji niemieckiej uważał się za Litwina, chociaż nie znał absolutnie języka żmudzkiego. Podczas spisu ludności przeprowadzonego przez Rosjan przed I wojną światową jak i przez Niemców podczas okupacji podał się (z całą rodziną) za Litwina, powiększając w ten sposób statystycznie ilość Litwinów na terenie swego zamieszkania. Dopiero po pierwszej wojnie światowej, gdy znalazł się pod panowaniem litewskim i Litwini (Żmudzini) zalali mu i jemu podobnym Litwinom sadła za skórę, poczuł się Polakiem i w litewskich spisach figurował jako Polak.

Było dużo takich Litwinów na terenie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego nawet w okresie niepodległości Polski. Do tej kategorii Litwinów należał Piłsudski.

KTO WIE LEPIEJ?

Paprocki jak się zdaje sądzi, iż wie lepiej ode mnie, jakie były stosunki narodowościowe na Kresach Wschodnich dlatego, że mieszkał i urzędował w Warszawie. Jak dygni-

tarze warszawscy znali te stosunki i rozumieli nastroje, potrzeby i dezcyderaty ludności kresowej świadczą fakt, że gdy do niektórych wiosek katolickich, których ludność mówiła po białorusku, przysłano nauczycieli białoruskich (niewiele ich było) chłopcy wypędzili ich grożąc kijami i cepami. Na zapytanie inspektora szkolnego o powód takiego postępowania i reakcji odpowiedzieli, że ich dzieci mówią „prostą mową“ bez żadnej nauki, gdyż nauczyli się jej od rodziców. Chodzi im o to, aby ich dzieci mogły modlić się z książki w kościele. W konsekwencji musiano przysłać do tych wiosek nauczycieli uczących po polsku.

Jest całkiem możliwe, że przywódca Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji i należąca do niej nieliczna katolicka elita i inteligencja białoruska modliła się po białorusku. Lud jednak i masy chłopskie w ogromnej swej większości tradycyjnie używały języka polskiego podczas modlitwy.

Według Długosza, nawet król Władysław Jagiełło, który nie znał języka żmudzkiego, po odmówieniu pacierza po łacinie, którego treści nie rozumiał, dodawał kilka słów modlitwy po białorusku, w tej formie w jakiej kiedyś modlił się do bogów i bożków pogańskich. Chodziło mu prawdopodobnie o to, aby Bóg go zrozumiał, albowiem mógł również nie znać łaciny.

W dodatku różnie bywało z przywódcami białoruskimi. Np. w latach dwudziestych córka dyrektora gimnazjum białoruskiego w Wilnie (Ostrowskiego) uczyła się w gimnazjum polskim im. Elizy Orzeszkowej. Znałem ją bardzo dobrze, gdyż była w tej samej klasie i przyjazniła się z moją kuzynką, przy czym kuzynka moja zapewniała mnie, że jej przyjaciółka nie była Białorusinką, albowiem czuła się Polką i przejawiała nieudawany patriotyzm polski.

Bedąc pewnego razu w restauracji w Nowogródku zauważyłem siedzących przy sąsiednim stole kilku młodych duchownych, którzy mówili po polsku, ale dość dziwnie wyglądali. Byli ubrani w sutanny noszone przez księży katolickich i mieli krótko strzyżone włosy. Byli starannie ogoleni, ale każdy z nich miał małą

kępkę krótkich włosów na brodzie. Zapytałem więc mego znajomego tzw. „Polaka wyznania prawosławnego“, których było dość dużo w Nowogródku i okolicy (mieli nawet swoją organizację), jacy to duchowni? Na to pytanie otrzymałem odpowiedź, iż są to księży prawosławni, którzy odbyli studia teologiczne na Prawosławnym Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego, przy czym do tego stopnia spolszczyli się, że nie tylko swym strojem upodobnili się do księży katolickich i mówią po polsku, lecz nawet wolą wygłaszać kazania w cerkwi po polsku.

Jeżeli był tak silny wpływ polskiej kultury i cywilizacji nawet na oświecone warstwy prawosławnych Białorusinów nie w tym dziwnego, że Białorusini wyznania katolickiego garnęli się do polskości.

Nacjonalści i działacze białoruscy byli, oczywiście, bardzo niezadowoleni z tego stanu rzeczy i skarżyli się w Warszawie, że ich rodacy są przymusowo wynaradawiani, co jest absolutnie niemożliwe, albowiem łatwo jest doprowadzić konia do wodopoju, ale nie można go zmusić do picia. Rzecz dziwna, że w Warszawie często im wierzono i wskutek tego nasza polityka narodowościowa na Kresach Wschodnich tak często schodziła na manowce i wywoływała konflikty.

W istocie powodem tego stanu rzeczy była niewątpliwie tradycyjna polska tolerancja narodowościowa i religijna, która walczyła przeciwko się do nieprzymuszonej i nienarzuconej asymilacji.

KONIA Z RZĘDEM ...

Paprocki pisze: „koniam z rządem temu, kto potrafi czytelnikowi „Orla Białego“ wytłumaczyć, skąd to dziwne porównanie Białorusinów z Walijszczykami w rozszerezeniach do Wilna i Londynu“.

Tym czytelnikom „Orla Białego“, którzy znają chociażby na poziomie elementarnym historię W. Brytanii nie trzeba tłumaczyć, bo i bez tego wiedzą oni o co chodzi. Natomiast tym, którzy jej nie znają to porównanie może wydać się dziwnym. Pisząc o tym w tej formie sądziłem, że czytelnicy „Orla Białego“,

Gdy Abdel Nasser doszedł do władzy na skutek obalenia rządów króla Faruka w 1952 roku, w programie swoim przewidywał trzy fazy działalności, które miały całkowicie zmienić geopolityczny obraz Środkowego Wschodu, kontynentu Afryki a w pewnym stopniu i całego świata .

Pierwszym jego zamiarem było zjednoczenie państw arabskich i utworzenie panarabskiej federacji z Egiptem na czele. Następnym etapem miało być poszerzenie wpływów Kairu na cały czarny ląd i objęcie nad nim przywództwa. Trzecim wreszcie zadaniem, obliczonym na dłuższy okres czasu — stworzenie wspólnoty wyznawców Islamu, w liczbie około 450 milionów, żyjących na obszarach od wysp Indonezji poprzez Środkowy Wschód aż po zachodnie krańce basenu śródziemnomorskiego.

Trzeba przyznać, iż był to plan śmiały, pełen wizji i zakrojony na wielką skalę. Miał tylko jeden mankament: za trudny na możliwości Egiptu. Kraj ten był gospodarczo zacołany, biedny, a wizjonerskie plany nowego przywódcy nie przemawiały do wyobraźni innych krajów arabskich. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności Nasser doszedł do przekonania, że jedynym sposobem choć-

by częściowego zrealizowania swoich zamiarów jest siła militarna. Postanowił więc rozbudować armię do takich rozmiarów, by mogła zastraszyć a w razie potrzeby rozbić siły sąsiadów i opanować ich pola naftowe. Intrygi miały być drugim narzędziem w realizacji celów. Przy ich pomocy Nasser planował usuwać nieprzychylnych mu przewódców krajów arabskich. Gdy państwa zachodnie nie spieszyły się z dostawami broni zwrócił się do Związku Sowieckiego. Rosja udzieliła chętnie pomocy zarówno w sprzęcie, uzbrojeniu jak też i personelu technicznym, widząc w tym doskonałą okazję do usadowienia się na dobre na Środkowym Wschodzie.

Po 18 latach rządów nie udało się zrealizować żadnego z trzech wielkich zamiarów Nassera. Siły militarne zawiodły, skompromitowały się w wojnie z Izraelem. Zbrojna interwencja w Jemenie skończyła się fiaskiem. Knowania w Jordanii i Libanie również zakończyły się niepowodzeniem. Intrygi i spiski przysporzyły Egiptowi więcej wrogów niż przyjaciół. Świat arabski został podzielony. Pre-

Druga próba

zydent Tunisu Burgiba oświadczył: Gdziekolwiek leje się krew arabska, widać tam rękę Nassera.“

Jedynym dokonaniem na polu federacyjnym było stworzenie Zjednoczonej Republiki Arabskiej, do której oprócz Egiptu weszła Syria. Unia trwała zaledwie trzy lata i rozpadła się z trzaskiem, pozostawiając Egiptowi jedynie nazwę.

NOWI DYKTATORZY

Z inspiracji Nassera doszło do zamachu stanu w sąsiadujących z Egiptem krajach. W Sudanie władzę objął gen. Jafaar el Nimeiry. W Libii — 27-letni kapitan Moumaar Kadafi. Był on główną sprężyną spisku przeciw królowi Idrisowi, opracował szczegółowy plan przewrotu. Po udanym puczu mianował się pułkownikiem, naczelnym wodzem sił zbrojnych Libii i przewodniczącym Rady Rewolucyjnej. Program stworzonego przez niego rządu przewidywał m. i. walkę ... „o wolność, socjalizm i jedność arabską w zmaganiach z Izraelem“.

„Kadafi jest postacią dosyć zagadkową. O ile chodzi o stronę wojsko-

DZIWIWA POLEMIKA

piśma przeznaczonego dla inteligencji, mają podstawową znajomość historii tego kraju i dlatego nie uzasadniłem swej tezy wywodem historycznym. Czynię to obecnie.

Od niepamiętnych czasów wszystkie wyspy brytyjskie były zamieszkałe przez ludy i szczepy celtyckie. Południe, włączając w to Londyn, było zaludnione przez Walijszyków — również Celtów. Po opuszczeniu w 427 r. (a. d.) W. Brytanii przez Rzymian rozpoczęły się najazdy na ten kraj wojowniczych i barbarzyńskich Skandynawów i Teutonów, którzy po wycięciu z reguły w pień mężczyzn, żenili się z ich żonami i córkami i osiedlali się na zdobytej ziemi, tworząc w ten sposób w postaci potomstwa naród anglo-saski. Część Walijszyków wycofała się na zachód w góry, wówczas prawie niezaludnione, i tam osiedliła się. Najężdźcy dalek ich nie tropił, albo-

wiem nie interesowały ich nieużyteczne dla rolnictwa góry.

Taki sam los spotkał Londyn i dlatego użyłem porównania tego miasta z Wilnem. Różnica polega tylko na tym, że cała ludność białoruska Wilna obojga płci spolszczyła się, lub zmieszała się z elementem napływowym z Polski, natomiast mężczy mieszkańcy Londynu zostali wycięci, lub uciekli, a ich walijskie żony i córki stały się żonami najeźdźców.

Charakterystycznie i znamienne ujął to zagadnienie przed około 80 laty słynny walijski profesor filozofii na uniwersytecie w Glasgowie, gdy podczas oficjalnego obiadu profesorów uniwersytetu w Oxfordzie powiedział: „Nie mnie nie obchodzi kim byli wasi ojcowie: jestem pewny, że wasze matki były Walijskami“.

Jestem pewny, że gdyby Paprocki znał te fakty historyczne nie zarzu-

ciłby mi „sarkazmu“, mogącego rzekomo obrazić Litwinów i Białorusinów. W dodatku, gdyby znał inne historie i historyjki nie obraziłby mnie zarzucając mi, że piszę kłamliwie i niedorzecznie oraz „wprowadzam swych czwytelników w oczywisty błąd“ itp. Słowem polemika mogłaby być ad rem, a nie ad personam, jak w konsekwencji wypadło, co jest niedopuszczalne w świecie cywilizowanym.

Na zakończenie wybaczy mi Paprocki, że będąc sprowokowany odpłacę mu pięknym za nadobne w postaci chwytu ad personam, udzielając mu rady: „Disce puer ...“. Na naukę nigdy nie jest za późno. Może w wyniku oświecenia dowie się on też, że wszyscy nasi książęta (kniaziowie w oryginale) są pochodzenia litewskiego.

Aleksander Stambrowski

Federacji Arabskiej

wą, to ma niewątpliwie pewne wiadomości, gdyż ukończył angielską szkołę oficerską w Sundhurst. W sprawach polityki jest wielką niewiadomą. Z jednej strony, głosi hasła lewicowo-socjalistyczne, z drugiej, popiera ruch nacjonalistyczny.

Prezydent Nasser był dla niego ideałem i na nim postanowił wzorować swoją działalność.

W grudniu 1969 trzej dyktatorzy Nasser, Kadaffi i El Nimeiry spotkali się w Tripoli i uzgodnili współpracę między ich krajami na polu gospodarczym, politycznym i militarnym. Nie postanowiono wtedy nic jeszcze o federacji, gdyż reżymy w Sudanie i Libii nie czuły się mocno.

WTÓRNA PRÓBA

Mrzonki o federacji państw arabskich odżyły na nowo po śmierci Nassera. Największy zapal w tym kierunku okazuje Kadaffi, najmłodszy z przywódców, który chętnie podjąłby się roli przewodnika ruchu panarabskiego. O przejęciu spuścizny Nassera myślą też i inni władcy krajów arabskich. Żaden z nich nie dojrzał jeszcze do tej roli.

Z inicjatywy płk. Kadaffi doszło do spotkania władców Egiptu, Sudanu i Libii w Kairze, gdzie po krót-

kich rozmowach ustalono ramy przyszłej federacji tych trzech krajów. Nie podano szczegółów organizacyjnych ani daty federacji. Pod znakiem zapytania jest jej forma rządów, oraz stosunek krajów członkowskich do ewentualnego rządu federalnego.

Nie określono też oblicza politycznego przyszłej federacji. Nowa jednostka byłaby olbrzymem, gdy chodzi o obszar (ponad 2 mil. kw) i ludność (52 miliony głów). Każdy z trzech członów miałby coś do ofiarowania federacji. Libia posiada bogate złoża naftowe i dochód z nich ponad bilion dolarów rocznie. Byłby to wspaniały zastrzyk kapitału dla całej wspólnoty. Sudan jest największym producentem żywności i mógłby zaopatrzyć w chleb masy głodujących mieszkańców Egiptu. Ten ostatni z 34 milionami ludności jest rezerwuarem ludzkim i mógłby dostarczyć rąk do pracy, oraz przyczynić się do postępu technicznego i ogólnego poziomu oświaty w pozostałych dwóch krajach. Obaj partnerzy Egiptu obawiają się, że jego olbrzymia przewaga ludnościowa i najdalej posunięte jak na kraje arabskie uświadomienie, uczynią z Kairu ośrodek dyspozycyjny, a z Libii i Sudanu — rodzaj kolonii.

Jest to jedna z przyczyn dlaczego przywódcy tych trzech krajów nie ustalili daty stworzenia federacji.

Znając charakter i usposobienie Arabów nie trudno odgadnąć, iż proponowana federacja napotka na olbrzymie opory. Arabowie w swej większości nie są politycznie wyrobieni, łatwo dają się podburzyć i zastraszyć. Ulegają panice, popadają z jednej krańcowości w drugą. Są wrażliwi na pieniądze i nie gardzą przekupstwem. Gotowi są zmieniać poglądy jak rękawiczki w zależności od tego kto lepiej płaci. Bardzo lubią pochody, protesty i głośne demonstracje, pracę, którą uważają za zło konieczne, winni wykonywać najbardziej.

Przy tak wielkich różnicach gospodarczych, szczepowych i kulturalnych zjednoczenie trzech krajów będzie nielada dokonaniem.

Dużo jeszcze wody upłynie w Nilu zanim dojdzie do rzeczywistej federacji, pomimo takich czy innych postanowień przywódców.

Wacław Netter

DLA SZKÓŁ

Już są do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojczyństw:

ANNA BOGUSŁAWSKA

POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Przewodnik dla nauczyciela

Cena: 10 sh.

JADWIGA OTWINOWSKA

UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda

Cena: 3 sh.

KSIEGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS LTD

MINA TOMKIEWICZ

BOMBY I MYSZY

powieść mieszczkańska

Cena 35 sh.

GEORGE ALLEN
AND UNWIN

MINA TOMKIEWICZ

OF BOMBS AND MICE

A story of Warsaw ghetto

Price: 50 sh. 2.50 dol.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM”
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA

Notatnik kulturalny

KONKURS LITERACKI

Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne w Niemczech od początku swego istnienia troszczą się o los i żywotność emigracyjnej twórczości literackiej. W ciągu 1970 roku zebrały ze składek wartowników sumę 2.671.80 DM na doroczne nagrody literackie, powierzając jak zwykle wybór jury organizację Związkowi Pisarzy Polskich na Uchodźctwie.

W literaturze uchodźczej jest brak powieści, której tematem byłyby wyłącznie dzieje obecnej emigracji. Związek Pisarzy Polskich wystąpił zatem z inicjatywą, żeby w 1971 roku, zamiast przyznania nagród, zorganizować konkurs na powieść na powyższy temat.

Powieść ma dać przekrój charakterystycznych losów polskiego uchodźcy, stojącego na gruncie niepodległości Polski i obraz życia naszego społeczeństwa osiadłego poza granicami Kraju.

Związek Pisarzy Polskich na Uchodźctwie dołączył się do funduszy Polskich Kompanii Wartowniczych i Technicznych sumą £ 100.0.0., z czego £ 50.0.0 przeznacza na IV-ą nagrodę konkursu, zaś £ 50.0.0. na koszty ogłoszenia konkursu, opłaty pocztowe, wydatki administracyjne.

Polska Fundacja Kulturalna, pragnąc ułatwić uczestnikom konkursu publikację prac nagrodzonych, lub wyróżnionych, ofiarowała się drukować je, według wyboru Redakcji, w odcinkach powieściowych Dziennika Polskiego w Londynie.

WARUNKI KONKURSU

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH na UCHODZTWIE i POLSKIE KOMPANIE WARTOWNICZE i TECHNICZNE w NIEMCZECH OGŁASZAJĄ

KONKURS NA POWIEŚĆ

z życia polskiej emigracji od 1940 roku do chwili obecnej.

Konkurs jest otwarty dla każdego Polaka piszącego po polsku. Nagrody ufundowane przez Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne w Niemczech.

Ponadto, Związek Pisarzy postarał się, żeby prace nagrodzone lub wyróżnione ukazały się w odcinkach powieściowych Dziennika Polskiego w Londynie (według wyboru Redakcji) za osobnym, jednoazowym honorarium.

Warunki konkursu

1. Powieść prozą, 300-350 stron maszynopisu (quarto) pisana po jednej stronie, z podwójnym odstępem i marginesem.
2. Na konkurs mogą być nadsyłane tylko prace oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane (nawet w fragmentach).
3. Prace pisane ręcznie nie będą rozpatrywane.
4. Prace muszą być podpisane tylko godłem; nazwisko i adres autora mają być załączone w zapieczętowanej kopercie, oznaczonej tym samym godłem.
5. Prace należy nadsyłać listem poleconym na adres: Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, 20 Princes Gate, London, S. W. 7. z zaznaczeniem „Konkurs Związku Pisarzy“.
6. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 października 1971, (obowiązuje data stempla pocztowego).

NAGRODA £300 ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ PT. „KRAJ I EMIGRACJA“

Koło Studiów Spraw Międzynarodowych przy Instytucie im. gen. Sikorskiego (Londyn) ogłasza konkurs na najlepszą książkę pt. „Kraj i Emigracja“. Nagroda, ufundowana przez dra Henryka Grubera, wynosi trzysta funtów. Termin nadsyłania rękopisów upływa 31 grudnia 1972. Osoby, pragnące otrzymać bliższe informacje, zechcą napisać pod adresem: The Secretary, The Study Circle for International Affairs, 20, Willow Avenue, Swanley, Kent, England.

„KU WOLNEJ POLSCE“ założone jako codzienny biuletyn prasowy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w obozie w Latrun latem 1940 r. przetrwało 30 lat. W grudniu ukazał się jego 486 numer, a 68 jako czasopisma Związku b. Żołnierzy S.B.S.K. Po wielu zmianach personalnych w redakcji, obecnie pismo redaguje Dr. Inż. Mieczysław Sas-Skowroński. Ostatni numer pięknie drukowany z ilustracjami na kredowym papierze w zakładach graficznych Gryfu otwiera oświadczenie b. dowódcy SBSK. gen. S. Kopańskiego na 30-lecie powstania Brygady. Resztę numeru wypełniają artykuły, wspomnienia (głównie z Tobruku),

wiersz Antoniego Słonimskiego „Dojdziemy“ i „Epigramaty“ Bolesława Kobrzyńskiego, informacje organizacyjne, kronika ośrodków pozamiejscowych i zagranicznych, nekrologi i „Sprawy polskie“ jak o śmierci gen. W. Andersa, Kongresie Nauki i Kultury, itp., Kącik Hercerski i listy ofiar na fundusz wydawniczy i pomocy koleżeńskiej.

ZEBRANIE INFORMACYJNE P.O.S.K.

zostało zorganizowane w sali zebrań własnego domu. Prezes prof. R. L. Wajda zapoznał zebranych licznie przedstawicieli społeczeństwa, członków i sympatyków POSK z planami budowy Domu Polskiego na Hammersmith. Ostatnio załatwione zostały sprawy formalno-prawne związane z kupnem i przebudową dawnego budynku kościoła Baptystów. W nim znajdować się będą m.in. pomieszczenia na zbiory biblioteczne i widownia teatralna z obszerną sceną na trzy kondygnacje wysokości. Po tym sprawozdaniu odbyło się doroczne wylosowanie obligacji wypuszczonych przez P.O.S.K. Zebranie połączone było z towarzyszącą lampką wina, podczas której omawiane były bieżące potrzeby polskiego życia społeczno-kulturalnego.

WYSTAWY MALARZY POLSKICH

odbywały się ostatnio w całym szeregu galerii angielskich i polskich. W Galerii Grabowskiego odbyła się nowa wystawa prac malarskich Stanisława Frenkla, który miał ich w tej galerii już kilkanaście. Większość obrazów o charakterystycznych kształtach postaci wykonanych było na drzewie. Wystawa wzbudziła żywe zainteresowanie angielskiej krytyki artystycznej.

W „Leicester Gallery“ miał wystawę Zdzisław Ruskowski, którego prace znajdują się już w różnych muzeach i galeriach. Ostatnio ukazała się monografia o Ruskowskim pióra angielskiego znawcy sztuki dr. J.P. Hodina, omawiająca dorobek 50 lat twórczości, wywodzącej się z francuskiego post-impresjonizmu.

W „Beskid Gallery“ zakończyła się wystawa prac malarskich W. Borowczyka, oraz gobelinów M. Sokolnickiej. W „Waddington Gallery“ zaś wystawione były gwasze i oleje zmarłego malarza pochodzenia polskiego H. Haydena, należącego do pierwszych propagatorów kubizmu.

PRACA POLEK NA EMIGRACJI

Komisja Porozumiewawcza Polskich Niepodl. Organizacji Kobięcych w W. Brytanii ukończyła pierwszy 6-miesięczny okres swej działalności. Termin ten zgodnie z przyjętymi zasadami organizacyjnymi związany jest z wyborem nowej przewodniczącej na następne półrocze.

Plenarne posiedzenie Komisji Porozumiewawczej odbyte na zakończenie kadencji w dniu 3 października br. w sali domu SPK poświęcone było sprawozdaniom z ubiegłego półrocza. Przewodniczyła p. Jadwiga Hausnerowa, sekretarzowały pp. Alicja Koliniecka i Aniela Stepanowa. Przewodniczące poszczególnych sekcji zapoznały uczestniczki zebrania z wynikami ich prac.

Działają 4 sekcje:

1) informacyjna w sprawie Polek „au pair“ pod przewodnictwem p. Marii Dębickiej;

2) przygotowująca jednodniową konferencję dyskusyjną na temat wyjazdów do Kraju, pod kierownictwem p. Danuty Kossakowskiej;

3) organizująca seminarium zagadnień kobiecych, pod przewodnictwem p. Janiny Miedzińskiej, oraz

4) przygotowująca do druku broszurę sprawozdawczą ze Zjazdu Polek, pod przewodnictwem p. Marii Leśniakowej.

Sprawozdanie kasowe złożyła skarbniczka p. Teresa Affeltowiczowa.

Po bardzo ożywionej dyskusji, w której zabierało głos 14 obecnych, zebranie plenarne zatwierdziło sprawozdanie.

Nową przewodniczącą na najbliższe półrocze została wybrana jednomyślnie p. Danuta Kossakowska, reprezentantka Związku Szkół Młodszych Ochotniczek; dotychczasowa przewodnicząca p. Jadwiga Hausnerowa pozostaje w prezydium jako wiceprzewodnicząca i wzmocni prezydium swoją pomocą i doświadczeniem. Reszta prezydium pozostaje bez zmiany. Zebranie złożyło serdeczne podziękowania — p. Jadwidze Hausnerowej i p. Annie Szczepanowskiej, dotychczasowej wiceprzewodniczącej za ich pracę w okresie dla Komisji Porozumiewawczej najtrudniejszym bo początkowym.

Do Komisji Porozumiewawczej należy 21 polskich niepodległościowych kobiecych organizacji emigracyjnych.

Z ŻYCIA ZWIĄZKU KARPATCZYKÓW

Związek Karpaczyców b. żołnierzy 3 Dywizji Strzelców Karpackich został powołany do życia w roku 1948. Po re-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

organizacji Związku w roku 1964 Zarząd Główny w Londynie ma indywidualnych członków niemal z całego świata oraz koła i lokalne komitety Karpaczyców w większych skupiskach b. żołnierzy 3 D.S.K. Mimo upływu przeszło 22 lat Związek Karpaczyców zyskuje każdego roku sporą ilość nowych członków.

Walne Zebrania delegatów i członków odbywają się każdego roku.

W ostatnim walnym zebraniu, jak zwykle, wziął udział b. d-ca dywizji gen. Br. Duch, serdecznie witany przez zebranych.

Sprawozdania z działalności Związku za rok ubiegły składali: prezes W. Maciejczyk, sekretarz A. H. Fuks, skarbnik S. Dydziński, przewodniczący Komisji Rewizyjnej L. Firczyk, przewodniczący Sądu Koleżeńskiego J. Wawrzekiewicz.

Związek Karpaczyców rozwija szeroką działalność społeczno-koleżeńską. Oto ważniejsze dziedziny jego pracy: Historia Dywizji, która ukaże się w 2 tomach z dużą ilością szkiców i fotografii oraz spisem około 25.000 b. żołnierzy dywizji; „Koniec Karpacki“, który był pismem dywizji w czasie działań bojowych i wychodzi do dnia dzisiejszego w nakładzie 1.500 egzemplarzy; rozwijanie koleżeństwa i utrzymanie kontaktów z b. żołnierzami dywizji, inwalidami i chorymi w szpitalach; komunikaty Zarządu Głównego w nakładzie 2.500 egzemplarzy; organizowanie koleżeńskich spotkań i imprez.

Związek bierze czynny udział w życiu emigracyjnym oraz organizuje rocznice wojskowe. Związek jest zbiorowym członkiem Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, Inwalidów Wojennych, Związku Harcerstwa Polskiego, T-wa Przyjaciół Fawley Court, Pitsford, P.O.S.K., T-wa Przyjaciół Harcerstwa.

Zarząd Główny ma 3 drużyny harcerskie pod swoją opieką — dwie w Londynu i jedną ze Slough. Współpracuje z Kołem Młodzieży Amersham — drużyną piłki nożnej „Karpaczycy“ i zespołem tanecznym „Krakowiak“.

Dochodzą do tego drużyny harcerskie pod opieką kół karpackich w Chicago, Bradford, 3 Karpackiego Pułku Art. Plot. i Sekcji b. żołnierzy Przeciwlotników.

Nad sprawozdaniami toczyła się ożywiona, rzeczowa dyskusja, w której brał udział: gen. Br. Duch, Z. Bukojemski, A. Choina, O. Dunin-Borkowski, S. Dydziński, C. Gierałowski, B. Gozdek, W. Maciejczyk, J. Narożański, M. Sas-Skowroński, J. Wawrzekiewicz.

Po uchwaleniu Zarządowi absolutorium z podziękowaniem został wybrany nowy Zarząd w składzie: prezes W. Maciejczyk, członkowie: J. Bem, L. Ambrożewski, S. Dydziński, A. H. Fux, J. Jaśkowski, J. Juszczyk, K. Presz, T. Stachowski, R. Surawski, S. Szmidt, B. Tumilowicz, redaktor Gońca Karpackiego: S. Cieślewicz.

Rada Główna Związku: Przewodniczący — gen. Duch, członkowie: gen. S. Kopański, gen. J. Smoleński, gen. R. Szymański, Z. Bukojemski, L. Firczyk, C. Gierałowski, B. Gozdek, C. Łukaszyk, W. Maciejczyk, T. Makowski, Z. Malinowski, H. Niedziałkowski, Z. Picheta, A. Pleskacz, P. Perucki, C. Sas-Skowroński, J. Szule, R. Wajda, G. Żeromski.

Zebraniu przewodniczył energicznie płk. O. Dunin-Borkowski, sekretarzował — mjr. B. Wiśniewski.

F R A N C J A

OBCHÓD 140-EJ ROCZNICY POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W niedzielę, dnia 29 listopada 1970 r., w salach Biblioteki Polskiej w Paryżu odbył się obchód 140-jej rocznicy powstania listopadowego.

Obchód otworzył Andrzej ks. Ponia-towski, prezes T-wa Historyczno-Literackiego, który podkreślił, że dzięki faktowi, iż Biblioteka Polska zachowała swój dawny, tradycyjny charakter instytucji wolnej, może ona nadal prowadzić swą akcję krzewienia i propagowania kultury polskiej i może udostępniać korzystanie ze swych cennych zbiorów i pamiątek wszystkim bez wyjątku, zarówno Polakom, jak i obcokrajowcom. Ten charakter instytucji winien być nadal utrzymany.

Następnie Jan Winczakiewicz wygłosił odczyt pt. „Syn Nocy Listopadowej — Ludwik Mierosławski jako literat“, wysłuchany z dużym zainteresowaniem.

Po odczycie nastąpiło otwarcie wystawy „Powstanie Listopadowe w dokumentach i pamiątkach Biblioteki Polskiej w Paryżu“. Wystawa urządzona została z dużym smakiem i znajomością

problemu przez kustosa Biblioteki Wojciecha Kreta. Zgromadzono na niej wiele cennych pamiątek dotyczących powstania, a mianowicie: obrazy, szkice, odezwy rządu powstańczego, rozkazy, gazety z tego okresu itp. Wystawa spotkała się z dużym uznaniem i zainteresowaniem zebranych.

DEKORACJE

ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI

W sobotę, dnia 5 listopada br. odbyła się w Domu Kombatanta Polskiego w Paryżu uroczysta dekoracja inżynierów architektów Stanisława Korytkowskiego i Mariana Rybczyńskiego złotymi Krzyżami Zasługi, przyznanymi im przez Radę Trzech Zjednoczenia Narodowego za opracowanie projektu i nadzór nad budową Memoriału na historycznym cmentarzu w Montmorency. Memoriał upamiętnił walkę żołnierza polskiego w II wojnie światowej oraz ofiary męczeństwa Polaków pomordowanych w obozach, w egzekucjach oraz zmarłych na zesłaniach.

Jak wiadomo, Memoriał, w który wmurowano kilkadziesiąt tablic pamiątkowych, został uroczystie odsłonięty w dniu 14.VI.1970 r., przy udziale przedstawicieli rządu francuskiego, władz samorządu i licznych delegacji organizacji polskich, francuskich i zagranicznych.

Do odznaczonych przemówił płk. Marian Czarniecki, prezes Zarządu Oddziału SPK we Francji oraz kol. Władysław Żeleński, wiceprezes T-wa Opieki nad Polskimi Grobami Historycznymi we Francji, który przy tej okazji odczytał listy z gratulacjami, skierowane do obu architektów przez prezesa Towarzystwa, deputowanego Jean-Paul Pawlewskiego.

Uroczystej dekoracji Krzyżami Zasługi dokonał Jerzy Żłobnicki, przedstawiciel Egzekutywy Zjednoczenia na Francję. W uroczystości, która upłynęła w miłej i serdecznej atmosferze, wzięło udział przeszło 50 osób. Spotkanie zakończyło się tradycyjną lampką wina.

UROCZYŚCISCI 11 LISTOPADA W MONTLUÇON

W dniu 22 października br. Koło SPK w Montluçon zorganizowało obchód 52 rocznicy odzyskania niepodległości Polskiej oraz 30-jej rocznicy powstania Armii Polskiej we Francji.

W godzinach porannych została odprawiona msza święta na intencję Ojczyzny przez o. Krzysztofa w kościele św. Teresy, na którą przybyli liczni rodacy z Montluçon, Commentry i najbliższych okolic.

W południe Zarząd Koła udał się do polskiej restauracji na koleżeński obiad, po czym o godzinie 15-tej odbyła się w sali parafialnej uroczysta akademii. Akademię otworzył kol. St. Żelezowski, wiceprezes Koła, wygłaszając okolicznościowe przemówienie. Następnie przemawiali: kol. J. Żłobnicki, sekretarz generalny Oddziału SPK we Francji oraz o. Krzysztof.

W części artystycznej wystąpił chór, który odśpiewał szereg polskich pieśni, oraz deklamatorzy i deklamatorzy. Na zakończenie została odegrana komedia pt. „Szukamy tłumacza“, po czym nastąpiły tańce. Występy artystyczne spotkały się z dużym uznaniem szeroko zgromadzonej publiczności.

Należy podkreślić z uznaniem duży nakład pracy włożony przez Zarząd Koła osobach Kolegów: R. Giełdowskiego, St. Żelezowskiego, Fr. Wasielewskiego i St. Pawlaka, którzy od szeregu tygodni przygotowywali tę uroczystość.

NOWY ZARZĄD REFERATU GRENADERSKIEGO SPK WE FRANCJI

W Paryżu odbył się w dniu 21. XI. 1970 r. zjazd delegatów kół Grenaderskich SPK, na którym dotychczasowy przewodniczący Referatu, kol W. Żeleński złożył swój mandat, sprawowany od niemal 3 lat, po czym wybrano nowy zarząd z kol. J. Serafińskim na czele.

Zjazd poprzedzony był obiadem koleżeńskim, do którego prócz delegatów kół i licznych Grenadierów z okręgu Paryża, zasiadli goście: kol. J. Wawrzekiewicz, prezes Zw. Polskich Grenadierów, przybyły z Londynu, A. Baranowski, prezes Rady SPK we Francji, J. Żłobnicki sekretarz generalny SPK, ks. kapelan Stolarek, prezes Inwalidów kol. B. Jagiellowicz, prezes Zw. b. Żołnierzy 2 D.S.P. kol. W. Gordowski, wiceprezes Zarządu Głównego Zw. Kupców i Rzemieślników p. Krasowski, prezes okręgu tegoż Związku w Lille, kol. Podsiadło wraz z kol. Leszczyńskim — obaj przybyli umyślnie z Lille.

Do prezydium zjazdu zaproszeni zostali kol. Serafiński (przewodniczący), kol. Horodyski i kol. Terlikowski (asesorowie) i Jagiellowicz (sekretarz).

Prezes Zw. Grenadierów kol. Wawrzekiewicz złożył życzenia owocnych obrad w imieniu gen. Ducha i Związku, w odpowiedzi na co zebrani uchwalili prośbę o przekazanie gen. Duchowi wyrazów wysokiego szacunku i żołnierskiego oddania.

Obszerne sprawozdanie ustępującego zarządu złożył przewodniczący kol. Żeleński przedstawiając przebieg i wyniki

zbiórki na pomnik oraz na medal 30-lecia oraz manifestacje ku uczczeniu walk Armii Polskiej we Francji, urządzone w Lille, w Montmorency, w Auberive i w Paryżu.

Wynik zbiórki na pomnik pod Lagarde jest bardzo pomyślny, jak to przedstawia obliczenie, które podajemy oddzielnie. Saldo dodatnie, które pozostało, znajdzie rychło zastosowanie, bowiem trzeba wybudować ogrodzenie dookoła pomnika pod Lagarde, aby go zabezpieczyć przeciw szkodom i zanieczyszczeniu, i lepiej uwydatnić na tle krajobrazu. Potrzebne więc są dalsze ofiary pieniężne, podobnie jak i dalsze zgłoszenia na medal 30-lecia.

Sama zbiórka, podjęta z zapalem na skutek apelu gen. Ducha, wykazała ogromną ofiarnością grenadierów i ich przyjaciół — zarówno Polaków jak i Francuzów (wplaty Francuzów na pomnik wyniosły jedną trzecią wpłat uzyskanych we Francji!). Kol. Żeleński podniósł szczególnie zasługi w tej zbiórce dobrowolnych kwestarzy w osobach kolegów: Podsiadły, Leszczyńskiego, Izeli, Pyszyńskiego, Lacha, Czerniela, Horodyskiego, Krzysztonia, Kurka, Olszowiaka, Górskiego, Capilleriego i wielu innych, nie mówiąc o zasługach skarbnika Referatu kol. Kossowskiego. Znaczną pomoc uzyskano również od kół SPK w Marsylii, Metz, Roubaix, Montluçon, Paryżu, podobnie jak od kół Związku Rezerwistów i b. Wojskowych w Auby, w Sedanie, w St. Avold, w Hagodange, w Wittenheim, w Paryżu, od Związku b. żołn. 2 D.S.P. Paryżu oraz od Komitetu Towarzystw i od Klubu Szachistów w Roubaix. Ogromną pomocą była również wpłata Souvenir Polonais w Metz (prezes kol. Szczeniowski). Wielu wpłatom towarzyszyły serdeczne, wzruszające listy, tak że cała ta akcja, przeprowadzona przez szeroki zespół ludzi dobrej woli, świadczy o żywej tradycji i wielkim poświęceniu dla sprawy grenaderskiej we Francji.

Pomnik wzniesiony pod Lagarde, zaprojektowany przez inż. architekta Andrzeja Madeyskiego (Montreal), wykonany przez firmę Aimé Petit (Dieuze) z napisem opracowanym graficznie przez artystę malarza E. Ernesta Kosmowskiego (Paryż), budzi powszechne uznanie swą prostotą, harmonią i wymową. Uroczystość odsłonięcia w dn. 21 czerwca br. miała wielki rozgłos w szerokich kręgach Emigracji i wśród Francuzów, publikacje prasowe w wielu francuskich pismach regionalnych przyczyniły się do rozgłoszenia chwalebnej karty bojów grenaderskich.

Kol. Szabelski w imieniu Komisji Rewizyjnej złożył wniosek o udzielenie zarządowi absolutorium z serdecznym po-

dziękowaniem w uznaniu zasług oddanych sprawie grenaderskiej, który to wniosek przyjęto jednogłośnie przez aklamację. Tak samo przyjęto wniosek zarządu o wyrażenie gorącego podziękowania kol. inż. Szczeniowskiemu, zasłużonemu przedstawicielowi Zarządu Referatu na wschodnią Francję i przewodniczącemu Komitetu Obchodu w Dieuze i w Lagarde.

Wobec rezygnacji kol. Żeleńskiego, umotywowanej koniecznością poświęcenia się innym obowiązkom, nowym przewodniczącym, na jego wniosek, został wybrany jednogłośnie kol. inż. J. Serafiński. Do zarządu zaś weszli (z prawem dalszej kooperacji) koledzy: W. Grochowski, I. Kossowski i W. Podsiadło (jako delegat na północną Francję). Dodajmy, że wkrótce potem do zarządu został dookooptowany kol. B. Jagiełłowicz.

Komisję Rewizyjną stanowią kol. S. Rombeyko i K. Szabelski,

Zebrań odbyło się w atmosferze serdecznego koleżeństwa, godnego tradycji grenaderskich.

KANADA

POLSKA SZKOŁA SOBOTNIA W ROXBORO

W zachodniej części wyspy montrealskiej w miejscowości Roxboro od siedmiu lat istnieje polska szkoła sobotnia imienia Marii Curie-Skłodowskiej. Działalnością swoją szkoła obejmuje następujące osiedla: Pointe-Claire, Dorval, Chomedey, Pierrefonds, Beaconsfield, Kirkland, Dollard-des-Ormeaux i St. Laurent.

Nie ma dokładnej ewidencji Polaków zamieszkałych w tym rejonie. Ilość ich ocenia się na około 500 rodzin, w tym około 150 rodzin posiadających dzieci w wieku szkolnym. Spory odsetek stanowią tu małżeństwa mieszane.

W bieżącym roku szkolnym do szkoły w Roxboro uczęszcza tylko 38-ro dzieci, co stanowi 10-15 procent tych dzieci, które do szkoły uczęszczać by powinny.

Szkoła podlega Polskiej Radzie Szkolnej w Montrealu pozostającej pod opieką Kongresu Polonii w Montrealu. W roku ubiegłym szkoła otrzymała od Rady Szkolnej subdywium w wysokości ponad 400 dolarów.

W szkole prowadzone są następujące klasy: 1, 2, 3. Każda klasa na dwóch poziomach. Ponadto klasa tak zwana angielska dla dzieci z małżeństw mieszanych władających słabo językiem polskim, oraz przedszkole. Lekcje odbywają się w lokalu szkoły angielskiej wynajmowanej za opłatą.

Personel nauczycielski w roku bieżącym stanowią panie: M. Waruszyńska,

jednocześnie kierowniczką szkoły, I. Dudek, B. Mercik i R. Tyszewicz. Sprawy administracyjne i gospodarcze szkoły prowadzi Komitet Rodzicielski w składzie: H. Holc — przewodniczący, W. Romanowski — skarbnik i Z. Wiśniowski — sekretarz. Komitet Rodzicielski wybierany jest na dorocznym Walnym Zebraniu rodziców. Kontrolę gospodarki przeprowadza Komisja Rewizyjna, której skład ustalili mi się nie udało.

Personel nauczycielski się zmienia. Zmienia się skład Komitetu Rodzicielskiego. Cele szkoły pozostają te same — utrzymanie dzieci przy polskości. Dlatego też Komitet Rodzicielski robi słuszne starania, aby przynajmniej raz w miesiącu odprawiana była w okolicy Roxboro msza święta w języku polskim, bowiem do polskich kościołów odległości są duże i nie każdej niedzieli można tam pojechać.

Przyczyny małej frekwencji w szkole dopatrywać się należy w dużych odległościach i w dużym ruchu ludności, z względu na zmianę warunków i miejsca pracy. A może i obojętność i brak zrozumienia ze strony rodziców?

W dostarczonych mi przez panią M. Waruszyńską wycinkach prasowych z lat ubiegłych, jest mowa o miłych uroczystościach: św. Mikołaja, zakończenia roku szkolnego i innych. Ogromna praca i wysiłek.

Bez względu na trudności i koszty, szkoła winna być utrzymana i nadal. Za wszelką cenę. Do tego potrzebny jest wspólny wysiłek rodziców (w interesie ich dzieci), grona nauczycielskiego i energiczna i z inicjatywą działalność Komitetu Rodzicielskiego.

KOMITET POMOCY DZIECIOM W MONTREALU

Komitet Pomocy Dzieciom Polskim w Montrealu powstał 18 lat temu. Jedną z założycielek była pani Zofia Romerowa. Z początkowej liczby 15 pań, Komitet rozwinął się do 100 członkiń.

Początkowym zadaniem Komitetu była pomoc polskim dzieciom w Niemczech (D.P.), oraz dzieciom wracającym z Rosji do Kraju. Komitet koncentruje się na pomocy dzieciom w Polsce i w Montrealu.

Co roku Komitet organizuje trzy tradycyjne imprezy. Dwa wieczory brydżowe połączone z pokazem mód, wystawą itp., oraz kiermasz świąteczny. Rocznie Komitet wypracowuje około 5000 dolarów, w tym sam kiermasz daje około 3000 dolarów dochodu.

Ostatni kiermasz, odbył się w dniach 21 i 22 listopada ub. roku.

Społeczeństwo polskie w Montrealu serdecznie i żywo popiera kiermasz i

przez masowe robienie zakupów świątecznych, jak również przez darmowo dostarczaną żywność do bufetu i kuchni.

Ciekawe są dane cyfrowe. Komitet udzielił w roku 1970 następującej pomocy: dzieciom w Montrealu — 2924 dolary; szkole dla ociemniałych w Las-kach — 500 dolarów; siostrom Samarytankom w Polsce — 700 dolarów; uniwersyteckiej klinice dziecięcej w Polsce — 450 dolarów; na dzieci niedorozwinięte w Polsce — 100 dolarów.

W latach poprzednich dostarczoneo też klinice uniwersyteckiej dwa aparaty „Resuscitator“ po 1000 dolarów

Doroczne Walne Zebranie Pań, wybrało zarząd w składzie 12 osób. W obecnej kadencji — przewodniczącą jest pani Marrietta Brzeska.

BELGIA

NA CMENTARZU WOJSKOWYM W LOMMEL

Na cmentarzu wojskowym w Lommel oddano hołd poległym żołnierzom 1-ej Dyw. Panc. w walce o wyzwolenie Belgii. Delegacje kombatantów belgijskich i alianckich oraz SPK Belgia wzięły udział w nabożeństwie i uroczystościach na cmentarzu. Mszę odprawił ks. H. Repka, Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Belgii w asyście ks. Stańco i ks. Noskiewicz. Kazanie wygłosił ks. Głuszak. W otoczeniu ponad 50 sztandarów i licznej publiczności w imieniu polskich organizacji niepodległościowych przemówienie wygłosił p. M. Gruszyński, prezes SMK. Wieńce i kwiaty składali kolejno: burmistrz miast — Lommel, Antwerpii, Gandawy, St. Niklas, Merksplaas, Roeselaar oraz organizacje kombatantkie Belgów. Z kolei składali wieńce: SPK Belgia — prezes W. Drodowski, Koło 1. Dyw. Panc. — prezes R. Łuczak, Nacz. Komitet Wolnych Polaków w Belgii — wiceprezes Rady A. Drożdżyniak, oraz liczne organizacje niepodległościowe z młodzieżą polską na czele. Uroczystości zakończono modlitwą za zmarłych.

* * *

Zaduszki były obchodzone we wszystkich miejscowościach, gdzie są groby polskich żołnierzy. W Brukseli na cmentarzu w Evere ks. dr K. Brzezina, kapelan SPK, odprawił modły za poległych żołnierzy pochowanych na miejscu honorowym cmentarza dla Aliantów. W Charleroi przed pomnikiem poległych lotników polskich spadły się świece. We Flandrii, tam gdzie jest grób żołnierza polskiego, miejscowa ludność wraz z osiadłą Polonią nie omieszkała uczcić pamięć poległych. Groby Ich były ukwiecone w Dniu Zmarłych.

W Dniu Niepodległości (Armistice) Koła SPK Belgia wysłały swoich delegatów na uroczyste nabożeństwa i obchody. Koło SPK Bruksela reprezentowało kombatantów polskich w uroczystym zapaleniu Znicza przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza w Brukseli, Ponad 2000 sztandarów z całej Belgii i delegacje z USA, Francji, Holandii, Włoch wzięły udział w podniosłej dla kombatantów alianatów chwili. Koło SPK Brabant wzięło udział w uroczystym przekazaniu znicza w drodze z Luksemburga do Brukseli oraz w nabożeństwie za poległych żołnierzy w obu wojnach. Koło SPK Liège wysłało dwa sztandary na obchód z udziałem wojska i delegacji alianckich przed pomnik Nieznanego Żołnierza w Liège.

* * *

W Gandawie odbyło się doroczne spotkanie członków BKM Pogoń. Przy wspólnym obiedzie a następnie u p. B. Reckich, omówiono sprawy organizacyjne i podsumowano wyniki pracy za ubiegłą kadencję. Odprawę przeprowadził p. pplk. S. Lebelt, komendant BMK Pogoń—Belgia.

KSIĄŻKI NADESLANE

Tadeusz Nowakowski, **HAPPY-END** powieść na tle rzeczywistości Polski Ludowej Instytut Literacki, Paryż, 1970, stron 205.

Andrzej Bobkowski, **COCO RE ORO**, szkice i opowiadania, Instytut Literacki, Paryż, 1970, str. 271.

Juliusz Mieroszewski, **MODELE I PRAKTYKA**, wybór artykułów zamiesz. w „Kulturze”, Instytut Literacki, Paryż, 1970, str. 223.

Opracowanie i redakcja Mariana Hemara, układ graficzny Tadeusza Filipowicza, **GENERAL ANDERS — ŻYCIE I CHWAŁA**, autorstwo zbiorowe, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970,, str. 205.

Autorstwo zbiorowe, szkice na temat filozofii chrześcijańskiej i marksistow-

skiej, **DROGA DO DIALOGU**, Odnowa,, Londyn, 1970, str. 194,

Władysław Bieńkowski, **KRYZYS ROLNICTWA CZY KRYZYS POLITYKI ROLNEJ**, Instytut Literacki (seria „dokumenty”), Paryż, 1970, str. 59.

Marian Helm-Pirgo, **POCZĄTKI KARTOGRAFII WOJSKOWEJ W POLSCE ODRODZONEJ**, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, New York, 1971, str. 21.

THE POLES IN GREAT BRITAIN 1971, presented by The Polish Ex-Combatants Association in Great Britain and The British Council for Aid to Refugees, London, 1971. pag. 8.

Piotr Borkowski, **ANGIELSKO-POLSKI SŁOWNIK IDIOMÓW I ZWROTÓW**, Odnowa, 1970, str. 204.

JAN BIELATOWICZ, **LITERATURA NA EMIGRACJI**, zbiór esejów z dziedziny literatury, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 239.

Andrzej Chciuk, **TOWARZYSZE Z BEZPIECZEŃSTWA**, powieść, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 239.

Józef Łobodowski, **RZĘKA GRANICZNA**, powieść, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 240.

JADWIGA MAURER, **LIGA OCALAŁYCH**, zbiór opowiadań, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 240.

Barbara Toporska, **NA WSCHÓD OD DZISIAJ**, dwie powieści, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 239.

LISTY DO REDAKCJI

PRZESTROGA

Szanowny Panie Redaktorze,
Wspaniale wyniki leczenia RAKA, osiągnięte „metodą” dra Isselsa, niemieckiego właściciela sanatorium, ogłoszone w rozmowie telewizyjnej i w „The Times” z dnia 16. 12. 70, budzą najwyższą nieufność. Autor „metody” podkreśla, że leczył głównie zaawansowane, raczej beznadziej-

ne przypadki. Postępowanie — jego zdaniem — powinno uwzględnić: 1. troskę o ogólny stan zdrowia; 2. immunologię, tj. sprawy związane z siłami odpornościowymi ciała.

1. Ogólne leczenie: Przy każdej poważniejszej chorobie czyni się wszystko możliwe, aby utrzymać siły pacjenta. Autor wspomina „jako nowość psychoterapię. Nonsense! Sam fakt zajmowania się chorym, odwiedzania i pielęgnowania, podawania mu różnych leków jest dostateczną psychoterapią. Nie istnieją żadne cudowne środki, wzmacniające organizm. Nie tylko lekarz ale każda dorosła, rozsądna osoba wie, co służy a co szkodzi. Lekarz ma za zadanie odpowiedni dobór i kombinacje, również ochronę chorego przed zbyt dużymi lub szkodliwymi pokarmami, napojami i z fantazji zaczerpniętymi środkami.

2. Immunologia: Autor wspomina — cytując dosłownie — że „należy usunąć zdolność organizmu do wytwarzania anormalnych komórek”. Ma na myśli komórki rakowe. Wbrew tej salomonowej radzie żadnym lekarstwem nie można tego osiągnąć. Gdyby ktoś wpadł na tak szalenie pomysł, musiałby każdej ludzkiej istocie, od urodzenia do zgonu, stałe podawać ten hamujący środek. To jest jednak zupełnie zbyt duże, bo organizm posiada wrodzony, stałe funkcjonujący aparat bezpieczeństwa, usuwający natychmiast zbroczoną komórkę zanim zdąży przekształcić się w pełny nowotwór. Dopiero, gdy ten aparat zawodzi, niesforna komórka pozostaje przy życiu i powoduje fatalną następstwa. Rak, w przeciwieństwie do chorób zakaźnych, nie prowokuje żadnej reakcji odpornościowej, żadnej produkcji przeciwciał czy niweczników, tzn. nie mobilizuje sił odpornościowych. Nie ma więc mowy o „immunoterapii”, stosowaniu swoistej surowicy lub szczipionki. „Septyczne” ogniska nie mają żadnego związku z powstawaniem lub propagowaniem raka. Gdyby dobrze poszukać, u każdego zdrowego osobnika znalazłoby się takie ognisko. Pomysł więc stosowania jakichś szczipionek, uzyskanych rzekomo z pożywek mycoplasma, organizmów wydobytych z tkanek złośliwych nowotworów jest pononny. Za skuteczne środki należy uważać chirurgię, światłolecznictwo i do pewnego stopnia chemoterapię. Takie postępo-

(Dokończenie obok)

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencja z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Sirena — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon”, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen. 45. Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19. Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca” Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ognia S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-, dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

wanie jest dobrze i fachowo opracowane i nie wymaga sensacyjnej propagandy. Reklama jest niegodna szanującego się lekarza a budzenie nieufności do klasycznego leczenia i przypisywania sobie znajomości szczególnych wiadomości jest wręcz karygodne. Podziwiam cierpliwość ofejalnych czynników, pozwalających na podobne obniżanie godności stanu lekarskiego. W krajach, w których ongiś praktykowałem, w Austrii, Polsce i Australii spowodowałyby to surowe dyscyplinarne dochodzenie.

Z wyrazami głębokiego poważania
F. Goldschlag

ZA DŁUGA POLEMIKA

Szanowny Panie Redaktorze,
Pragnę wyrazić p. Marii Drzymulskiej z Melbourne pełne uznanie. W kilku zwiezłych zdaniach potrafiła wyrazić, co myśli o toczącej się już od pewnego czasu, na łamach „O.B.“ polemice na temat książki gen. Kukiela „General Sikorski“. Jestem przekonany, że podobnego zdania jest większość czytelników „O.B.“, zdegustowanych niekończącą się dyskusją.

Autorzy listów widocznie nie zdają sobie sprawy z trudności redaktora, dysponującego skromną ilością miejsca. Mogą przecież wydać własną książkę albo broszurę i rozsyłając ją, na własny koszt, do Polaków rozsianych po całym świecie. A jeśli chcą by tych rozmiarów listy publikowano w naszym „O.B.“, niech pokryją koszt druku według stawek, płaconych przez firmy handlowe.

Łączę wyrazy poważania
Władysław Opolski
Londyn.

W NIEZGODZIE Z RECENZENTEM FILMU „PAN WOŁODYJOWSKI“

Szanowny Panie Redaktorze,
Przeczytałem recenzję Andrzeja Pachulskiego z filmu „Pan Wołodyjowski“ w listopadowym numerze „Orla Białego“. Czy trzeba było aż dwóch stron pisma, aby zjechać ten świetny film i wielkie osiągnięcie polskiej kinematografii? Niech mi będzie wolno, Panie Redaktorze, polemizować z recenzentem jako zwykły widz i od piętnastu lat aktor na polskiej emigracyjnej scenie.

Jako ogólną uwagę chciałbym wysunąć, że tak mało jest serca w tym co recenzent pisze. Wszystko jest traktowane z zimną logiką i z pewnym przekąsem. Oczywiście, recenzja jest niczym innym jak indywidualnym ujęciem wrażeń z oglądanego widowiska. Moje wrażenia i, wydaje mi się, większości widzów były wręcz inne.

Recenzent twierdzi, że główne postacie były płaskie, papierowe; że nie było w nich żadnej głębi. Podejrzewam, że p. Pachulski lubuje się w tragediach Ibsena i filmach Bergmana, gdzie wszystko jest głębokie i zawile. Nie wydaje mi się, aby Sienkiewicz tak pisał. Jego postacie są proste, nieskomplikowane i z wielką wiernością autorowi są odtworzone w filmie

Zawsze mnie uczono, że prostota na scenie jest wielką i trudną do osiągnięcia zaletą. Brawo dla reżysera i aktorów, którzy potrafilo osiągnąć. Są jednak sceny w filmie o wielkiej głębi i wzruszające. Tutaj znowu nie zgadzam się z recenzentem, który w scenie oddania Ketlingowi Krzysi dopatruje się jakiejś angielskiej „self pity“. Ja w niej widzę po prostu złamane serce Wołodyjowskiego. Scena pięknie zagrana przez Tadeusza Łomnickiego. Słowa „mnie trocha boli, ale to nic“ — to nie szukanie politowania, a raczej angielskie „understatement“. Kochałem się bez wzajemności kilka razy i wiem, że to bardzo boli.

A teraz te wąski. Zdaje mi się, że Tadeusz Łomnicki ruszał nimi doskonale. Recenzentowi, który uważa, że za mało wewnętrznej prawdy, za mało psychicznego podkładu było za tym „ruszaniem“ powiem jako aktor, że jest pewna granica tego, ile wewnętrznych uczuć, ile podkładu psychicznego można włożyć w taki jeden „trick“. Gest jest bardzo ważną rzeczą na scenie, ale nie można zbyt dużo wyrazić jednym gestem. Potrzebne są słowa, słowa, słowa.

Chciałbym też powiedzieć, że Zagłoba bardzo mi się podobał. Można było tę rolę

różnie zagrać, ale ta interpretacja trochę na „koturnach“ była konsekwentnie przeprowadzona i do przyjęcia. Szczególnie podobało mi się kiedy Zagłoba się bał. „Michałku, może się trochę cofniemy“ — mówi w jednej scenie. Oczywiście, w Basi zakochałem się i w ogóle kobiece role były świetnie grane.

Pan Pachulski na zakończenie twierdzi, że „Pan Wołodyjowski“ nie był dobrym filmem. Nie zgadzam się. Wszystkie plenery były wykonane na najwyższym poziomie nie ustępując wielkim filmom epicznym Hollywoodu. Step był stepem, las lasem a Kamieniec prawdziwą warowną twierdzą. A co za wspaniałe sceny szturm i oblężenia — buchający ogień, dym, rządzające haubice i lejąca się smoła. To było lepiej zrobione niż wiele filmów hollywoodzkich operujących znacznie większym budżetem. A co za świetna jazda konna aktorów i aktorek.

I jeszcze jedno. Byłem na filmie z kolegą Anglikiem i wcale nie prawda, że film był niezrozumiały. Zrozumiał wszystko, nawet scenę wbijania Azji na pał, którą była skrócona w tej wersji. To zasługa angielskich napisów. Bardzo dobre tłumaczenie.

Z poważaniem
M. Kiersnowski

K R Z Y Ż Ó W K A N r 134/71

ZNACZENIE WYRAZÓW

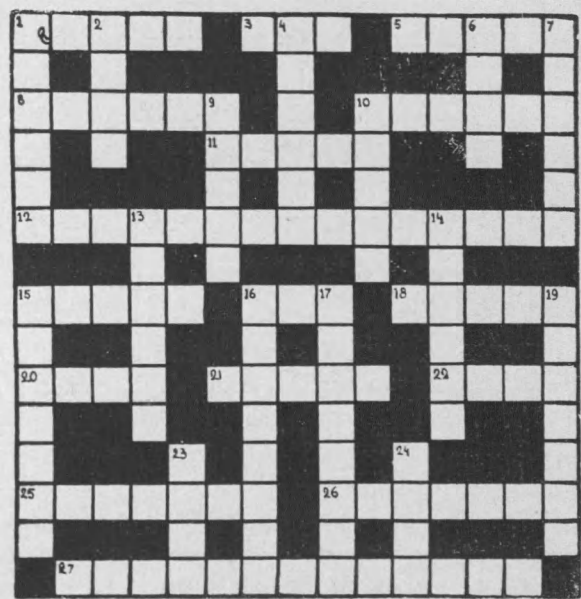
Poziome: 1) i 5) cesarz rzymski, zostawił pałac w Splicie; 3) i 16) narzędzie górnicze; 8) bez niej nie ma państwa; 10) miasto w Polsce; 11) wykonuje pracę podobną do pracy Atlas; 12) coś cesarskiego w prawie (6, 9); 15) i 18) hasło Bożego Narodzenia; 20) redukcje; 21) znikają w ciepłe słońca; 22) drobna moneta (wspak); 25) strasząca zjawia; 26) drzewo na czasie (wspak); 27) przebaczenie.

Pionowe: 1) pusty jest głosem bez znaczenia; 2) przelożony duchowny; 4) łobuz; 6) dumna żona Jowisza; 7) utwór literacki; 9) daje duże pole dla grafika; 10) z nim się skąpiec nie rozstaje; 13) utwór liryczny; 14) mają czuć (wspak); 15) przegrana; 16) zalewaj ją, aby nie gryzła (wspak); 17) jeździł nim Mickiewicz; 19) nie tylko nim należy się kierować (wspak); 23) i 24) próba sił.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 132/70

Poziome: 1) i 5) Demostenes, 3) i 16) skrzat, 8) apetyt, 10) feston, 11) uszko, 12) niebieski migdał, 15) i 18) intryganci, 20) sowa, 21) z dala, 22) jury, 25) arkebuz, 26) kolanko, 27) komediopisarz.

Pionowe: 1) diakon, 2) i 6) miernota, 4) koszyk, 7) sandał, 9) Turek, 10) forma, 13) burzan, 14) Gracja, 15) inserat, 16) Zaduszki, 17) teleskop, 19) Irydion, 23) obce, 24) solo (wspak).



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 133/70

Poziome: 1) przetak, 5) Szkocja, 9) rep. 10) Czeska, 11) oczeret, 12) war, 13) Danusia, 14) Opatija, 15) Miklas, 18) pistolet, 22) pastorał, 25) drapak, 30) rzeczka, 31) oszczep, 32) rum, 33) solwaty, 34) powłoka, 35) Lea, 36) landara, 37) satura.

Pionowe: 1) Poczdam, 2) zielnik, 3) Trzaska, 4) krawat, 5) sporofit, 6) kształt, 7) cyrkiel, 8) antrak, 16) Ina, 17) LOT, 19) oda, 20) Ewa, 21) kamaryla, 22) parasol, 23) steelon, 24) odznaka, 26) rozkwit, 27) pozłota, 28) kaprawa, 29) kompas.

KSIĘGARNIA SPK

CZASOPISMA, KSIĄŻKI EMIGRACYJNE I KRAJOWE

o r a z PODRĘCZNIKI SZKOLNE

20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKI „KULTURY“

Tom 194 — Andrzej Bobkowski

SZKICE I OPOWIADANIA

Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego chcemy przypomnieć czytelnikom w przededniu 10-ej rocznicy jego śmierci.

Str. 272.

Cena F. 20 (dol. 4,25; 33 sh.)

★

Tom 195 — Juliusz Mieroszewski

Wybór artykułów czołowego publicysty „Kultury“.

Str. 224.

Cena F. 18.50 (dol. 4; sh. 32)

★

Tom 196 — Tadeusz Nowakowski

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.

Str. 208.

Cena F. 18.50 (dol. 4; sh. 32)

★

Tom 197 — Seria „Dokumenty“

ZSSR I PRL

(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI)

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu“: S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18.50 (dol. 4; sh. 32)

OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“,
czytają Polacy
w 25 krajach świata.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu
narodowym poza granicami
Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzie-
żowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży
w Kraju.

Cena: 3/6

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

INSTYTUT LITERACKI

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

KRYZYS ROLNICTWA

czy

KRYZYS POLITYKI

ROLNEJ?

Cena 16 s.

KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS

Rok założenia 1944

66, KENWAY ROAD, Earls Court, LONDON, S.W. 5. Tel. 370 2210

KSIĄŻKI W BOGATYM WYBORZE. KATALOGI WYSYŁAMY BEZPŁATNIE.